

MIASTO UBOGICH KREWNYCH?

Biorę właśnie świecę do ręki, zapalam ją i idę szukać zdrowego rozsądku w pewnej dziedzinie naszej łódzkiej polityki kulturalnej. Jest to dziedzina dotycząca książki, a więc tych treści kulturalnych, które można wypożyczyć do domu, kupić dla siebie, korzystać z nich niemal w dowolnym miejscu i w czasie wybranym przez siebie. Szczegółowo ważne w naszym mieście, gdzie większość ludzi pracuje, gdzie czas drożeje z każdym rokiem. I z innego względu ważne to szczegóły.

Myśmy już wyrosli z lat, w których pozory brało się za fakty o szerokim zasięgu. My już wiemy, że kiedy skrzyknie się pięciu np. artystów w taką czy inną grupę, wcale z tego nie wynika że ludzie kupują dobre obrazy od chwili przeczytania manifestu pięciu zbratanych. Jednodniówki, manifesty buńczuczne, nowe fale, to wszystko są rzeczy po których idzie dym na cały kraj, ale w prasie i tylko w prasie. Mieliliśmy i mamy niezłe teatrzyki studenckie. Czy bardzo podniosła się przez to kultura teatru wśród młodzieży studiującej? Widzimy — książki znikają z półek księgarskich jak efemerydy, odbywają się prawdziwe polowania na dobre książki. Czy ogólna kultura czytelnicza tego miasta pracy bardzo się dzięki temu podniosła? Oczywiście, nie zamierzam odmawiać racji podanym przykładowo zjawiskom, one są przecież potrzebne, są jednak — i to jest ważne — natury elitarniej, pozbawione odniesienia do szerszego ogółu.

Mówmy więc o tym ogóle łodzian. Wiemy coś przeciw o nich. Wiemy, że około połowy robotników w wieku uprawniającym do dalszego kształcenia się, nie posiada nawet podstawowego wykształcenia, wiemy jak bardzo nam oświata dorosłych kuleje. Inteligencja posiada swoje kluby, niektóre bardzo, ale to bardzo żywe, że wymienimy, także tylko dla przykładu, klub Związku Literatów Polskich, Dziennikarzy, Pracowników Handlu Zagranicznego, KMPiK, Klub Studenta itd. Lecz z tych pozytywnych przeciw faktów wcale nie wynika równie bujne życie Włóczęgów, Chojen, Stoków, czy Górnej. Nasz łódzki pisarz, nasz poeta, może otrzymać duże wyróżnienie, bywało tak niejednemu raz. Cieszymy się, bo nam ranga miasta rośnie, ale czy to znaczy, że czytelniczo rusza z kopyta?

CYFERKI SĄ BARDZO SMUTNE

Smutne, ale prawdziwe. Inwazja wskaźników, normatywów, średnich statystycznych na kulturę trwa. Inwazja ta ma swoje zalety, bowiem jakby nie było

Dalszy ciąg na str. 6



odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI



rok VI.
Łódź, 24. III. 63.
Nr 12 (264)
Cena zł 1.—

MAREK WAWRZKIEWICZ

Straty można odrobić



I w takich warunkach muszą pracować nurkowie. Uszkodzenia podwodnych części kadłuba przy grubej krze zdarzają się bardzo często.

Fot: S. CIEŚLAK

Jest ciepło, piękna, słoneczna pogoda. Kanalem portowym wolno płynie kra. Siedzą na niej wrony i mewy. W głąb portu powoli posuwa się mała holownica „Chrobry”. Kra jeży się i przyska przed jego dziobem. Wielkie dźwigi stoją nieruchomo. U nadbrzeża stoi radziecki „Miednogorsk”. Trochę dalej widnieje olbrzymia sylwetka 15-tysięcznika „Kolejarz” — największej jednostki spuszczonej na wodę przez Szczecińską Stocznia.

Stąd, z tego nadbrzeża nie wygląda to wszystko zbyt groźnie. Ale już parę kilometrów dalej alacm, gorączkowo pracują maszyny i ludzie. Rozpoczęło się generalne natarcie na lody. Mimo ocieplenia lód trzyma się mocno. Na Odrze powłoka lodowa wynosi przeciętnie prawie 70 cm, a w niektórych rejonach przekracza nawet 3 metrów. 10 lodolama czy polskich i niemieckich kruszy lód na jeziorze Dąbie przygotowując ten zbiornik

Dalszy ciąg
na str. 5



Lodolamacze a raczej holowniki polskie i niemieckie na jeziorze Dąbie. Fot: Z. DMOCHOWSKI

JAN BABIŃSKI

KOMU POMNIK W RUDZIE?

Po Rudzie Fabianickiej jeżdżą dwie „rakiety amerykańskie”. Podłużne, lśniące „auta jak marzenie”, kształtne niby Wenus z Milo i tak samo rozłożyste. Gdy limuzyny skręcają na ulicę Franciszka, chłopcy na chodnikach tak odwracają głowy, że mało szyi nie zwiczną. Ba, stateczni obywatele też przystają i wodzą zamyślnym wzrokiem za autami, które pomykają szybko i bezszelestnie. Wreszcie samocho-

dy robią luk wokół klebowiska szklarni. Zatrzymują się po drugiej stronie.

Piękne są sałatki z sazklem, świeżutkie, zielone. Proszę pani, po ile dziś sałatki?

Ksawerów, Ruda Fabianicka, Radogoszcz, Kochanówka, gdzie okiem sięgnąć, wszędzie wyrasta pod Łodzią szklana obręcz dojrzewających w ciepłe witamin. Zautomatyzowane fabryczki warzyw, to one pra-

cują na trzy zmiany, nie skarżąc się na brak surowca. Świątki i piątki są tu przypięte do tego samego kołowrotu. Kto skrętny i haruje jak ten wół, ma na to, by wakacje spędzić w Paryżu. Co tam Paryż! Do dobrego tonu należy dziś „ekskursja” na Wyspy Kanaryjskie. Nie jedziesz na Wyspy Kanaryjskie w dobranym gronie właścicieli sklepów galanteryjnych, znaczy się Żle z tobą, kłapa-

widocznie w interesie, może zgoła krawędź bankructwa? Wolne żarty, jaka znów kłapa, czy ktokolwiek splaj tował gdziekolwiek pod miastem Łodzią na nowalijkach ze szklarni? Pomidory, cebulki, rzodkiewki, rany Boskie, przeciw tego wciąż mało.

Czy pani nie wie, gdzie dziś „dają” świeżą sałatkę? Kto miał ikrę w kościach i szaleństwo w oku, brnął niegdyś przez śniegi Alaski,

prażył się jak ryba na paletach w kalifornijskich piaskach, rył w skalach za złotem. Dziś złoto samo rośnie, byle dobrze je podlewać i mieć trochę węgla. Jak widać nie brak u nas mężów z inicjatywą, skoro ruch w Rudzie nadzwyczajny. Na budowę nowych szklarni poszło w zeszłym roku 270 ton żelaza szklarniowego, poszłoby więcej, gdyby żelaza było więcej. Co tu dużo mówić, nastą-

ła era witamin. Pulpa z truskawek uprawianych pod Łaskiem ma taką markę w Paryżu, że ekspeduje się ją z Łodzi w dębowych beczkach. Sama beczka jest warta 500 złotych, a to przebież tylko opakowanie. Warzywa, to jest witaminy, roślina oszłamiającą karierę. Otwierają się przed nimi wciąż nowe rynki zbytu, rynki tak chłonne, że gdyby nawet pod Łodzią było 10 razy więcej szklarni niż jest, więc tyle ile pod Rotterdamem czy Hago, to i tak trudno by było sprostać zamówieniom. NRD, Czecho-słowacja, Hamburg, Paryż, Berlin — długa jest lista

Dalszy ciąg
na str. 4

HISTORIA RÓWNOLEGLA

Przedsiębiorcze wydawnictwo paryskie „Presse de la Cité” wpadło na oryginalny pomysł, żeby powierzyć dwóm wybitnym pisarzom, Aragonowi i Maurois, napisanie dwóch książek, jednej — będącej historią Związku Radzieckiego, i drugiej — historii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Opracowanie dzieł ZSRR powierzono komunistę Aragonowi, opracowanie równoległych dzieł USA — liberalowi Maurois.

Zanim zrelacjonuje, jak prasa literacka ocenia ten eksperyment muszę przypomnieć, że Ludwik Aragon, poeta i powieściopisarz, jeden z twórców surrealizmu, urodził się w 1897 roku i zdobył sobie światowy rozgłos utworami powieściowymi, a zwłaszcza — „Dzwonami Bazylei”, „Komunistami” i „Wielkim Tygodniem”. Rozległa wiedza encyklopedyczna, znajomość Związku Radzieckiego, w którym przebywał wielokrotnie wraz ze swą żoną, również powieściopisarką, Elżą Triolet, oraz nie mniejsza znajomość dzieł Europy, czego dowód w „Wielkim Tygodniu” predestynowały Aragona bardziej niż każdego innego pisarza francuskiego do podjęcia wysiłku nad napisaniem książki o ZSRR.

André Maurois, członek Akademii Francuskiej, wybitny powieściopisarz, znawca Anglii, autor „Dzieł Anglii”, „Milczenia pułkownika Bramble”, „Disraeliego” i „Byrona”, ur. w 1885 roku, przebywał w czasie wojny w Stanach Zjednoczonych, które miał możliwość dobrze poznać. I tutaj więc, wybór autora należy uznać za trafny.

Tytuł książki Aragona: „Sposzczenia udzielone przez wybitnych Bolszewików”.

Tytuł książki Maurois: „Rozmowy z kilku wybitnymi Amerykanami”.

Pisząc o tych dziełach, w których dwa równoległe nurty historii obu krajów doprowadzone są do roku 1960 krytyk francuski Wurmser stwierdza, że główną tendencją obu książek jest — pokój. „Zapewne — pisze Aragon — wiele problemów nie zostało jeszcze rozwiązanych, ale są to konflikty, z których nikt nie widzi innego wyjścia, jak w drodze

pokoju”. Zaś Maurois podkreśla, że sytuacja międzynarodowa narzuca koegzystencję pokojową, przy czym według jego zapewnienia, obywatela USA zdają sobie sprawę z konieczności utrzymania pokojowego współzawodnictwa, gdyż w przeciwnym razie świat pogrążyłby się w masakrze i anarchii.

Ostatnie propozycje Nikity Chruszczowa i rozmowy w Białym Domu potwierdziły w całej rozciągłości ugruntowany na wierze w człowieka optymizm obu autorów.

Wurmser czyni ciekawe spostrzeżenia, że nie bez racji historia ZSRR została zawarta przez Aragona w dwóch tomach, podczas gdy dzieje USA Maurois zmieścił się w jednym. W ostatnim półwieczu dokonały się niewielkie zmiany w Stanach Zjednoczonych. „Rysy zasadnicze pozostały te same” stwierdza Maurois. Rockefeller od planów elektryfikacyjnych Lenina do nowoczesnych elektrowni atomowych i od kawalerii Budionnego do Gagarina i Titowa wydaje się niezmierny.

Z tego jednak, że obywatel amerykański zasklepił się w pewnych pojęciach, zwłaszcza w pojęciu wolności, rozumianej tak, jak sobie ją wyobrażali jego ojcowie i dziadkowie, założyciele demokracji amerykańskiej, wynika pewne poważne konsekwencje. Maurois zauważa, że dla Anglika, Francuza czy Niemca ze słowem „rewolucja” wiąże się wyobrażenia Cromwella, Dantona czy Heinego oraz cały korowód wybitnych i pomniejszych postaci historycznych, które zwalczały przeżyty reżim feudalny i absolutystyczny. Francuz, Anglik czy Niemiec może być antyrewolucyjny nie sądząc wszakże zarazem, że każdy rewolucjonista jest wysłannikiem szatana. Natomiast u Amerykanów każdy, kto kwestionuje zasady współczesnego ustroju, dopuszcza się świętokradstwa, okazuje brak szacunku dla pamięci Waszyngtona i zostaje zaszufadkowany jako osoba podejrzana o działalność antyamarykańską.

Trudno przewidzieć, kiedy zostanie przełożone na polski i wydrukowane dzieło

Maurois o Stanach Zjednoczonych. Czas oczekiwania możemy sobie jednak skrócić przez lekturę nie mniej wartościowej, a może pod wieloma względami przewyższającej studium francuskiego pisarza, znakomitej pracy polskiego socjologa, prof. Józefa Chałasińskiego pt. „Kultura amerykańska” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza), w której autor w arcyinteresujący sposób przedstawia formowanie się narodowej kultury w USA od czasów „dżentelmenów” w społeczeństwie otwartym, jakim był u swych początków naród amerykański, aż do czasów businessmenów, „lordów kapitalizmu” i „lordów podziemia” z chicagowskich gangów.

Po recenzji książki Maurois, którą Wurmser nazwał dowcipnie „powieścią biograficzną o wuju Samie”, krytyk francuski przystępuje do rozważań nad dziełem Aragona.

Autor „Wielkiego Tygodnia” podkreśla z naciskiem, że ani on, ani Maurois nie chcą być w swych książkach heroldami odmiennych ustrojów, a tym bardziej nie zamierzają ze sobą polemizować.

Jednak obie prace dzieli kapitalna różnica, wynikająca choćby z odmiennego stosunku Amerykanów i ludzi radzieckich do przyszłości. I. A. Kairov, prezydent Akademii Nauk Pedagogicznych zastanawia się już teraz nad tym, jacy obywatele staną na czele narodu za lat dziesięć czy dwadzieścia, krótko mówiąc, co wyróżnie z dzieł wstępujących dzieł do szkół. Prezydent Akademii Medycznej w Moskwie już teraz dyskutuje o nowych sposobach podróży i warunkach możliwych dla astronautów w statkach kosmicznych, podlegających dalekiej i długotrwałej wyprawie w kosmos. Wszystko to łączy się z przewidywaniami zmian, jakim będzie podlegać ludzkość. Tymczasem Amerykanie — nawet jeżeli poddają krytyce swoje urzędzenia społeczne — nie wyobrażają sobie, żeby istniejący u nich reżim mógł ulec zmianom i być zastąpiony przez inny.

A więc, dwa światy! Aragon przypomina słowa uczonego radzieckiego, Froncewa, że „napiecie walki ideologicznej nie oznacza absolutnie, że powinno ono być przygotowaniem ideologicznym do wojny”, krócej: „żadne zaślepienie nie przysłużyło się pokojowi”.

W podobny sposób wypowiada się prof. Żukow, sekretarz Akademii Nauk ZSRR: „Pogodzenie ideologii kapitalistycznej i socjalistycznej jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest zniesienie sprzeczności interesów kapitalisty i robotnika”. Ale jak powiada Nikita Chruszczow: „Można zatrzymać się na walkach ideologicznych bez użycia broni”.



EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

ANNA ZALEWSKA

Pani Anna Zalewska jest rodowitą łodzianką. Urodziła się w Łodzi, tu mieszkałi Jej rodzice, tu chodziła do jednego przed wojną żeńskiego Państwowego Gimnazjum im. Emilii Szezańskiej. „Mieszkałiśmy na Sikawie. Ojciec mój był ślusarzem, uważał, że powinienam nauczyć się jakiegoś zawodu, ale matka pod wpływem kierownika szkoły podstawowej do której chodziłam, zdecydowała, że będę się uczyć”.

Pani Anna zdała konkursowy egzamin do gimnazjum, wpłacając znaczną jak na budżet rodzinny sumę 120 złotych wpisowego. Potem została zwolniona od opłat; dodajmy, że w ten sposób wyróżniała się bardzo dobrze uczennice tego gimnazjum. Kiedy wybuchła wojna, pani Anna była jeszcze uczennicą. „Mieszkałam w Łodzi przez całą okupację, pracowałam w niemieckim biurze, w sklepie i uczyłam dzieci. Najpierw przychodziły do mnie do domu, także ze szkoły podstawowej i także z gimnazjum. Mieszkałam obok posterunku żandarmerii i kiedyś jednemu z chłopców wypadły polskie książki tuż pod nogi Niemca”.

Pani Anna została przez kogoś życzliwego ostrzeżona. Tajne komplety? Za to groziła śmierć, albo obóz koncentracyjny.

„Jakoś o tym nie myślałam — mówi — uważałam, że spełniam swój obowiązek. Jeszcze w szkole udzielałam korepetycji, byłam nawet przewodniczącą takiego Koła Korepetytorów, miałam trochę doświadczenia. Mój brat i bratowa byli też zresztą nauczycielami”. I pani Anna przez cały czas trwania wojny pracowicie biegała do domów swoich uczniów.

„Byłam związana z ruchem konspiracyjnym, kiedyś o mały włos nie skończyłoby się tragicznie. Ale jakoś udało mi się wywinąć”. Pani Anna przez pięć lat przechowywała sztandar i dokumenty szkoły powierzone jej przez dyrekcję Sztandar Gimnazjum Szezańskiej leżał najpierw w szafie, w słoju owiniętym rozmaitymi szmatami. Kiedyś w czasie rewizji pani

Anna słyszała wyraźnie, jak uderzony przez żandarma kolbą słoń stukł się. Uznała ten sposób przechowywania za niebezpieczny i sztan dar do końca wojny wisiał w charakterze makatki na ścianie Jej pokoju. „Po wojnie — mówi — w czasie pochodu przedelflowałam z nim przez Piotrkowską. Byłam wtedy ogromnie dumna”.

Już w kwietniu 1945 roku pani Anna zaczęła pracować w szkole, tej samej, której była absolwentką, a we wrześniu zaczęła się uczyć sama.

„Nie miałam wtedy jeszcze matury. Dalałam ją 5 lutego 1946 roku w trybie przyspieszonym. I od drugiego semestru, nadrobiając zaległości, zaczęłam studiować w pierwszym otwartym po wojnie Państwowym Pedagogium. Mieściło się ono przy ulicy Lipowej. Potem przeniesiono je na PWSP.

Kiedy wezwano nauczycieli do wyjazdu na Ziemię Bez chodnie, bo tam trzeba było organizować polskie szkoły, pojedaliśmy razem z mężem pod Wrocław. Mieszkałiśmy na wsi w powiecie strzeleńskim. Uczyłam rano, a po obiedzie organizowaliśmy kółka, świetlice, nawet życie towarzyskie. Tam szkoła była ośrodkiem, centrum życia kulturalnego. Praca dawała ogromnie dużo satysfakcji, wszystko trzeba było zaczynać od początku”.

Po trzech latach wraca pani Anna do Łodzi.

Pracuje najpierw w Szkole Zawodowej, potem w Komitecie Łódzkim w wydziale oświaty, potem w Studium Przygotowawczym, gdzie jest zastępcą dyrektora, odpowiedzialną za domy studenckie i sprawy bytowe młodzieży. Były to czasy, gdy do Polski przyjeżdżali pierwsze grupy studentów zagranicznych: Koreańczycy, Chińczycy, Wietnamczycy.

Pani Anna, absolwentka Centralnej Szkoły Partyjnej prowadziła na Worcella i Piotrkowskiej, gdzie wówczas mieściło się Studium, naukę o Polsce i świecie współczesnym. Potem Studium zostało zorganizowane na innych zasadach i przemianowane na Studium Ję-

zyka Polskiego dla Obcokrajowców. A pani Anna od 1958 roku rozpoczęła pracę w Komitecie PZPR Włdzew, zajmując się znowu sprawami oświaty i kultury. „Jednocześnie — mówi — wieczorem uczyłam w szkole dla pracujących. Te wszystkie lata były bardzo ciężkie. Miałam dwoje małych dzieci i byłam zupełnie sama.

Od trzech lat pani Anna Zalewska jest kierownikiem Okręgu TPD na Łódź i jednym z dwóch wiceprezesów Zarządu Okręgu. Dzięki jej pracy, jej umiejętnościom organizacyjnym, energii i ogromnej pasji Towarzystwo Przyjaciół Dzieci w Łodzi oceniane jest najwyżej w Polsce.

„Towarzystwo jest organizacją społeczną, mamy swoje świetlice blokowe, poradnie społeczne, udzielające wskazówek pedagogicznych, gdzie dzieci badane są przez lekarza i psychologa, organizujemy doraźną pomoc dzieciom, uczymy je, jak należy się bawić i odrabiać lekcje. Przychodzimy w ten sposób z pomocą i dzieciom i rodzicom. Słynna była w lecie ubiegłego roku akcja podwórkowa i organizowane razem z ZHP szkolenie samorządów podwórkowych na specjalnie zorganizowanym obozie w Wiśniewie Górze. W świetlicach członkowie kół TPD organizują dzieciom zabawy, pomagają odrabiać lekcje, spotykają się z rodzicami”. Pani Anna opowiada o pracy „swoich” kół z ogromnym zapalem.

„Wiem, że to co robię jest pożyteczne — mówi — Mam tak wiele przykładów celowości naszych akcji, a tyle jeszcze pomocy oczekują od nas, dorosłych, dzieci. Łódź jest miastem, gdzie wszelka inicjatywa społeczna jest chętnie podejmowana. Ludzie wiedzą, że to dla dobra ich i ich dzieci. Bardzo chętnie pracują, tylko trzeba umieć z nimi rozmawiać”. Pani Anna wciąż pozostała „panią nauczycielką”. Po wyjściu z biura biegnie do Szpitala Korczaka. Tam uczy dzieci ze wszystkich klas szkoły podstawowej. „Bardzo się cieszę na nysy i tym, że ide do moich chorych. Jestem jakimś łącznikiem ze światem, fakt, że dzieci normalnie się uczą w szpitalu ogromnie korzystnie wpływa na ich psychikę, mniej odczuwają niemożność swojej sytuacji. Jestem przede wszystkim nauczycielką i wśród gromady dzieci czuję się najlepiej”. Pani Anna, działaczka, społeczniczka, nauczycielka, kierownik odpowiedzialnej placówki i matka, najmniej czasu ma dla siebie samej. „Żyję z zegarkiem w ręku — mówi — planem i kalendarzem. Muszę przewidzieć wszystko naprzód, co moje dzieci będą jadły na obiad, jak rozłożyć sobie plan działań tak, by móc od czasu do czasu pójść do kina czy kawiarni. Kiedy mnie pytają, jak te wszystkie zajęcia zdołam ze sobą godzić, odpowiadam zawsze, że potrzeba jest matką wynalazków”. Pani Anna od czasu do czasu także i pisze. Najczęściej o „swoich” dziełach, o „swoich” kolach, o pracy łódzkiego TPD. Jej artykuły ukazują się w „Przyjaciół Dziecka”, piśmie wydawanym przez TPD, wygłaszane są przez radio w pięciominutowym odcinku poświęconym sprawom wychowania. „Jak niemal każdy pedagog miałem kłopoty wychowawcze z moimi własnymi dziećmi. Ale uznałem ich samodzielność i traktuję je jak osoby dorosłe. Jestem optymistką i choć dużo mam rozmaitych kłopotów, zawsze wierzę w to, że zdołam sobie jakoś poradzić. Odnoczyłam zawsze czynnie, mam masę przyjaciół i chyba jestem szczęśliwa. A chciałabym? Chciałabym być zawsze potrzebna”.



sta — rak morski dochodzi do długości pół metra i często waży ponad 15 kg. Nie takie znow stworkonko.

W swoim czasie wiele było szumu i entuzjastycznych zachwyty wokół rewelacyjnego wynalazku prof. Molla. Potem wszystko ucichło, a twórca „sztucznego serca” (zsympyowany nęcącymi propozycjami z zagranicy) nie może się doczekać rozpowszechnienia swego wynalazku. Przypomina się przysłowie o prorokach we własnym kraju.

Z podanych niedawno obliczeń wynika, że przeciętnie każdy poseł Ziemi Łódzkiej odbył w ciągu roku 1962 — 18 spotkań z wyborcami. To sporo, jeśli wziąć pod uwagę i ogólną liczbę posłów i mnożąc wykonywanych przez nich funkcji.

Studencki Teatr Satyryczny „Cytryna” wrócił do Łodzi z III Ogólnopolskiego Przeglądu Zespołów Artystycznych Akademii Medycznych z I nagrodą. Zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić, bowiem „Cytryna” inkasuje pierwsze nagrody od kilku lat. Młodzież medycy wystawiła w Warszawie swój nowy program pt. „Chuligaństwo” oparty na tekstach autentycznych chuligańskich śpiewek. Programu nie widzieliśmy, ale podobno istotnie wart nagrody.

J. W.

Czterdzieści działaczek Frontu Jedności Narodu z Łodzi i wojewódzwa udekorowano na uroczystej akademii w Pałacu Sportowym Odznakami Tysiąclecia. W uroczystości między innymi wzięli udział: przewodniczący CRZZ Ignacy Loga-Sowiński, przewodnicząca ZG Ligii Kobiet Alieja Musiśłowa oraz Michałina Tatarówna-Majkowska, I sekretarz KŁ PZPR.

„Langusta — stworzonko małe” — napisał pewien łódzki specjalista od polityki międzynarodowej. Ale zły los chce inaczej. Zoologia nie polityka — pisać się nie da. Langusta





Charlton Heston, znany naszym czytelnikom z filmu „Biały Kanion”, tym razem w roli Mojżesza w filmie „Dziesięcioro przykazań” reż. Cecil de Mille.

Metryki „Gwiazd”

Jeden z naszych czytelników ma bardzo ciekawe zainteresowania. Od kilku lat zbierał on z różnego rodzaju publikacji informacje o miejscu i dacie urodzenia znanych ludzi ze świata filmowego. Powstał z tego bardzo ciekawy materiał, który posta-

nowiliśmy opublikować w kilku kolejnych numerach „Mieszanki Filmowej”, gdyż wydaje nam się, zainteresuje on także innych czytelników. Oto nazwiska ludzi filmu w porządku alfabetycznym, a obok miejsce i data ich urodzenia.

- 46) Henie Sonia
- 47) Hepburn Audrey
- 48) James Harry
- 49) Kelly Gene
- 50) Kelly Grace
- 51) Kiepura Jan
- 52) Kostelanetz Andre
- 53) Krupa Gene
- 54) Lancaster Burt
- 55) Leigh Vivien
- 56) Lolobrigida Gina
- 57) Loren Sophia
- 58) MacDonald Jeanette
- 59) Mansfield Jayne
- 60) Mason James
- 61) Maynard Ken
- 62) Menjou Adolphe
- 63) Menuhin Yehudi
- 64) Monroe Marilyn
- 65) Negri Pola
- 66) Novak Kim
- 67) Navarro Ramon
- 68) Olivier Laurence

- Oslo, Norwegia 1913
- Bruksela, Belgia 1929
- Albany, USA 1916
- Pittsburgh, USA 1912
- Philadelphia, USA 1930
- Sosnowiec, Polska 1902
- Leningrad, ZSRR 1910
- Chicago, USA 1909
- Nowy Jork, USA 1913
- Darjeeling, India 1913
- Subiaco, Włochy 1928
- Neapol, Włochy 1932
- Philadelphia, USA 1907
- Bryn Mawr, USA 1933
- Huddersfield, Anglia 1909
- Mission, Texas, Anglia 1895
- Pittsburgh, USA 1890
- Nowy Jork, USA 1916
- Los Angeles, USA 1926
- Lipno, Polska 1899
- Chicago, USA 1933
- Durango, Meksyk 1905
- Dorking, Anglia 1907

MARIA KORNATOWSKA

„MODERATO CANTABILE”

Ostatnimi czasy dosyć często mieliśmy możliwość oglądania na naszych ekranach dzieł reprezentujących rozmaite „nowe fale”, „antyparty”, „nowe kina” itd. We wszystkich tych dziełach dążyło się wyróżnić co najmniej trzy wspólne momenty. Po pierwsze: bohaterowie nudażą się bez nadziei. Po drugie: bohaterom nie się nie chce, a jak już im się nawet zechce to i tak nie z tego nie wychodzi. Po trzecie: bohaterowie żywią przedziwne upodobanie do długich i rzeźbiarskich nawet nużących wędrowców i spacerów, której to skłonności wyraźnie sprzyja stosowanie szerokiego ekranu. Na tej zasadniczej kanwie osnute są różne mniej lub bardziej zajmujące historie, na rozmaite tematy czy też mówiące ściślej, bez jakiegokolwiek sprecyzowanego tematu. Na pozór wygląda to bardzo zabawnie. A szczególnie już satysfakcję odczuwa nasza rodzima publiczność widząc, jak diabelnie nudzą się i jak okropnie są nieszcześliwi posiadacze wielopokojowych apartamentów i ekskluzywnych „Alf-Romeo”. Po obejrzeniu takiego filmu z lepszym sercem spogląda się na drogie (w etymologicznym tego słowa znaczeniu) wystawy komisów i lepszym krokiem wraca na teren własnej ograniczonej powierzchni mieszkaniowej. Filmy te spełniają więc w naszym kraju wysoce użyteczną dydaktyczną funkcję. Należy do nich między innymi właśnie „Moderato cantabile”, film francuski zrealizowany przez angielskiego reżysera teatralnego Petera Brooka na podstawie znanego utworu literackiego Marguerite Duras.

W „Moderato cantabile” znajdziemy wszystko to o czym wspominaliśmy: beznadziejną nudę, przytłaczający koszmarny monotony egzystencji i absolutną niemożność wyrwania się z niego, niemożność autentycznego życia i odczuwania. Ponieważ rzecz cała wywodzi się od znakomitej w swoim rodzaju grafomanki pani Duras, nie bez powodu pozwolę sobie przypomnieć w tym miejscu inny film oparty na jej scenariuszu a mianowicie „Hiroshima, moja miłość”. Te filmy pozornie tak różne, łączą jednak tożsamość pewnych, obsesyjnie niemal w twórczości Duras powracających motywów i podobieństwo postawy filozoficznej. W obu występuje motyw reinkarnacji uczuć. W „Hiroshi-

mie” bohaterka w pewnym momencie utożsamia Japonczyka ze swym dawnym kochankiem, a miłość w Hiroshimie jest powtórzeniem romansu jej młodości. W „Moderato cantabile” Anna i Chauvin utożsamiają się psychicznie z bohaterami dramatu miłosnego, jaki rozegrał się w ich mieście i powtarzają jego historię. I tu w grę wchodzi motyw drugi, wspólny obu filmom — niustannie współzależność miłości i śmierci, tak brutalnie zaakcentowane w „Hiroshimie” i tak mocno podkreślone w „Moderato cantabile”. Miłość i śmierć są niemal jedynymi wyznacznikami ludzkiego istnienia, jedynymi wartościami naszej egzystencji. I towarzyszą sobie wzajemnie tak jak rozkład towarzyszy tworzeniu. Na porażonych śmiercią polach Hiroshimy wyrasta nowe, bujne życie. Z unicestwionej miłości dwójga kochanków powstaje nowa miłość.

I tak nieustannie powtarza się ow przedziwny cykl odwiecznego umierania i zmartwychwstania. Jest to filozofia z pogranicza nihilizmu i przekornego optymizmu. Wprawdzie śmierć niszczy wszystko i zabiera, ale wieczna reinkarnacja pozwala żywić nadzieję. Wszystko ginie ale i wszystko zmartwychwstaje. Te treści powiedziane zostały w „Hiroshimie, mojej miłości” brutalnie i drapieżnie, pełnym głosem krzykiem niemal, fortissimo, natomiast w „Moderato cantabile” jak już sam tytuł wskazuje, śpiewnie i umiarkowanie.

Jeden z francuskich krytyków filmowych przyrównał strukturę „Hiroshimy” do utworów Strawińskiego. „Moderato cantabile” swą harmonijną klarownością, czystością tonu, wyrafinowaną prostotą przywodzi na myśl muzykę Vivaldiego. Rzadko zdarza się oglądać film tak jednolity stylistycznie, tak urzekający swą poetyckością, poetyckością czysto filmową, „audio-wizualną”. Można nie znośić pani Duras i jej filozoficzno-erotycznych koncepcji, można wybrzydząć na treść filmu, na postawę bohaterów, można mówić „coż nas obchodzi dramaty znudzonych nierobów”, ale nie sposób oprzeć się urokowi tego filmu. Peter Brook znakomicie wykorzystał wszystkie środki filmowego wyrazu dla stworzenia bardzo ciekawego klimatu monotoni, niepokoju, oczekiwania, hun-

tu, który przechodzi w krzyk i jak krzyk zamiera.

Na szczególną uwagę zasługuje tu praca operatora. Malarski koloryt jesennego melancholijnego krajobrazu, operowanie światłem, tonalnością i walorowością obrazu, świetne wykorzystanie szerokiego ekranu (np. obraz tłumy biegnącego na miejsce wypadku) i głębi ostrości (sceny w kawiarni) — wszystko to znakomicie współtworzy atmosferę i dramaturgię filmu. Tę jakąś tytułową śpiewność i powściągliwość „Moderato cantabile” podkreśla także rytm, wielopłaszczyznowy, powolny, ale pełen ukrytego niepokoju, nieubłagane zapowiadający tragiczny finał. Rytm nie tylko montażu, ale i rytm wewnętrzny obrazów, pulsowania światła, ruchu postaci i przedmiotów, układów płaszczyzn itd. Rytm podporządkowany harmonii „małej ślicznej sonatiny Diabelliego”. Istotnym jego elementem jest owo ciągle poruszanie się, wędrowanie postaci, tak znamienne nie tylko dla współczesnego filmu („Krzyk”, „Przygoda”, „Zacmienie”, „Hiroshima, moja miłość”, „Zdarzyło się w Rzymie” itd.), ale i dla literatury (Bulwer, Robbe-Grillet, Cayrol, Henri Thomas). Postacie bohaterów wędrują, a raczej wędrują się bez określonego celu, gnane jakimiś mglistymi i dla nich „innych niezrozumiałymi pobudkami”. Czy jest to ucieczka przed światem i sobą, czy może szukanie czegoś, uparte i beznadziejne? A może wyrazem obecności wobec świata, braku jakiegokolwiek zaangażowania, wyrazu postawy widza a nie aktywnego uczestnika wydarzeń? Ale to chodzenie Anny i Chauvina znaczy w „Moderato cantabile” jeszcze coś więcej. Stanowi istotny, zasadniczy element rozwoju, ruchu i rytmu opowiadania, w filmie w którym nie się wiać nie dzieje, a i to co się zdarzy jest już z góry, od początku przesądzone i wiadome.

Na zakończenie tych refleksji nie można nie wspomnieć o znakomitej grze (trudno to właściwie nazwać grą) Jeanne Moreau. Aktorka ta jest wyjątkowym i rzeczywiście fascynującym zjawiskiem na ekranie (wysłarczy przypomnieć długie zbliżenie jej twarzy, aby ocenić rangę jej wielkości) i stanowi wartość samą w sobie filmu „Moderato cantabile”.

W „Semaforze”

W dwóch lódzkich wytwórniach filmów krótkometrażowych, w przeciwieństwie do lat poprzednich, kiedy to początek roku był raczej okresem przesłowań w produkcji, w tym roku sytuacja uległa dość widocznej zmianie. I tak w „Semaforze”, jak również w Wytwórni Filmów Oświatowych trwają zdjęcia lub przygotowania do nowych filmów.

Reż. Edward Sturlis realizuje w „Semaforze” barwny film lalkowy „MASKOTKI” wg scenariusza Ryszarda Brudzińskiego. Na zamówienie dystrybutora amerykańskiego reż. Lidia Chorńska pracuje nad filmem lalkowym „PIESN HJAWATHY” — jest to historia życia Indianina od dzieciństwa po wiek chłopców. „Semafor” rozwija również produkcję filmów rysunkowych i wycinankowych, które do niedawna były przede wszystkim realizowane w Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej i w Studio Miniatur Filmowych w Warszawie. W pracowni rysunkowej „Semafora” dwa filmy realizuje jugosłowiański reżyser Branko Ranitović. Realizuje on „MIEJSCE NA GÓRZE”, w którym każdy z widzów znajdzie sporo pokrewnych wątków ze znanego u nas filmu fabularnego produkcji angielskiej pod tym samym tytułem. Nieco inny charakter będzie miał drugi film realizowany przez reż. Ranitowicia — „TROJE MALYCH CZARODZIEJÓW”, tematycznie nieco zbliżony do filmów oświatowych, bo ukazujący powstawanie barw złożonych. Wg własnego scenariusza realizuje film rysunkowy reż. Józef Skrobinski. Tytuł filmu — „ZALOTY”, a treścią trójkąt... miłosny w świecie figur geometrycznych — kół, prostokątów, trójkątów itp. Bardzo ciekawy film wycinankowy powstaje wg scenariusza Wiesława Antosika i w reżyserii Katarzyny Latało pt. „WYSTAWA”. Jest to historia o malarzu i zmieniającej się modzie w kierunkach twórczych. Zapobiegliwy malarz potrafi jednak tak malować swój obraz, że ten powieszony i oglądany z różnych punktów widzenia może być jednocześnie obrazem abstrakcyjnym i realistycznym.

Trwała pozycja w produkcji „Semafora” w roku bieżącym będą zajmowały filmy aktorskie. Wg noweli Zofii Natkowskiej z tomu „Medalliony” powstaje film z Haliną Mikołajską w roli głównej „PRZY TORZE KOLEJOWYM”. Reżyseruje Andrzej Brzozowski, autorem zdjęć jest znany i ceniony operator Jerzy Wójcik. Jerzy Stawicki i Marek Nowicki realizują wg scenariusza Władysława Lema film telewizyjny „PRZYJACIEL”. W produkcji znajduje się kolejny film aktorski dla dzieci „NA STRYCHU” w reżyserii Jadwigi Kędzierzawskiej i Ryszarda Brudzińskiego, który jest także autorem scenariusza. W sumie w roku 1963 „SEMAFOR” zrealizuje 30 filmów, w tym 15 animowanych (lalkowych, rysunkowych, wycinankowych) i 15 aktorskich (w tym tzw. telewizyjnych).

A. NIESMIAŁEK



str. 3

KOMU POMNIK W RUDZIE?

Dalszy ciąg
ze str. 1



odbiorników. Doszło do tego, że przybywają do nas przez śnieg i mrozy potężne ciężarówki z NRF, odbierają warzywa zakontraktowane jeszcze w zeszłym roku.

Warzywa z pól, głównie jednak te przyspieszone, to jest złoty interes. Komu więc pomnik w Rudzie wystawić? Kto był odkrywcą witamin, kto do nich przetrwał drogę?

Szkopuł w tym, że odkrywców cały sznur, na tym sznurze tyle paciorków, że nie dojdiesz już który waży niejszy. Być może na drogę do witamin weszli uczeni w momencie, gdy zaintrygowali ich sam proces trawienia. Wszak to sam Hipokrates próbował uporać się z tym problemem. Nie udało się. Uczony Grek złożył jednak kategorię oświadczenia. Stwierdził, że każdy rodzaj żywności składa się tylko z dwóch części, tej którą organizm wchłania i tej, którą jako bezużyteczną wyrzuca na zewnątrz. Ten pogląd, zadziwiająco prosty i nie pozabawiony logiki przetrwał w dziesięciu wiekami do początków XIX wieku.

Dopiero William Beaumont zdołał zajrzeć głębiej do jelit, w ogóle do przewodu pokarmowego. Otóż w czerwcu 1822 roku, na jednej z wysepki jeziora Michigan groźny postrzał w brzuch odniósł niejaki Alexis Martin. Na ratunek pośpieszył lekarz wojskowy i ranę zeszył. Wbrew oczekiwaniom chory pozostał przy życiu, acz z brucha wyzierała mu straszliwa, zabliźniona już dziura. Doktor Beaumont, to on był owym lekarzem, polapał się w możliwościach i podchwycił niespodziewaną szansę. Przecież przez otwór w brzuchu będzie można do godnie obserwować pracę żołądka! Lekarz zabrał Martina do siebie, zatrudnił go w charakterze służącego i badał przez 10 lat. Potem oddał do druku dzieło, które z miejsca wywołało sensację. Dotyczyło trawienia. Na ogół było już wiadome jak żołądek trawi. A co z samym pożywieniem? Czyżby potrawę dzieliły się tylko na „miękkie, które zły żołądek ledwie strawi i grube, które dobremu żołądkowi nie wadzą”?

Pożywienie przez długie wieki było zaskakująco jednostajne. Chleb, mąka, tłuszcz, mięso. Jeszcze w 1816 roku przeciętny Niemiec zjadał rocznie 14 kg mięsa i... 250 kg przetworów mącznych. O warzywach wyrażano się wtedy z wielką pogardą, jako „o barwionej wodzie, która sily nie daje”. No i witaminy, urażone, że nikt ich nie bierze serio i nie dostrzega, wzięły zemstę co się zowie. W Krakowie, Poznaniu, Piotrkowie skorbut kosił długą kosa, w krajach Bliskiego i Dalekiego Wschodu szalała tajemnicza choroba, którą zwano beri-beri. W samą porę sprowadzono do Europy kartofle z Ameryki. Ludzie zjadali się nimi, czuli się świetnie, nie zdając sobie sprawy, że razem z kartoflami pochłaniają mnóstwo witaminy „C”.

Z biegiem lat utrwalił się pogląd, że rodzaj pokarmu stoi w bezpośrednim związku do kondycji człowieka, więc sily, zdrowia. Duże zainteresowanie - wzbudziły

swego czasu eksperymenty uczonych japońskich. Wyizolowane grupki dzieci karmiono w szkołach „po japońsku i po amerykańsku”. Podawano im więc głównie ryż, albo jedzenie rozmaite, tłuste i bardzo syte. Wyniki były zaskakujące. Ucznio wie japońscy trzymali na „amerykańskiej diecie” prze-rośli w ciągu kilku lat średnio o parę centymetrów kolegów odżywianych „po japońsku”.

Wiedzano od dawna, że ten silny, kto je do syta. Długo jednak nie wiedzieli o czemu tylu więźniów na Jawie umiera w każdym roku na beri-beri. Symptomy tej choroby, jednej z plag ludzkości, są wszędzie jednakie. Serce puchnie, wtrąba pęcznieje. Robią się obrzęki na piersi, ramionach, nogach, człowiek nabrzmiewa jakby wtłaczano w niego powietrze. Wreszcie za gardło łapie duszność. Więźniów na Jawie karmiono „polarowanym” ryżem, odartym więc z plewek i łuski. To w tych plewkach wiąże się gniazdko witaminy B-1.

Skorbut. Przez długi czas nikt nie potrafił do-ciec dlaczego wilk morski wraca z dalekiego rejsu z krwawą plamą na dziąsłach. Masz sobie, w 1753 roku dr Lind złożył w Admiralicji oświadczenie, że kto cytrynę nie gardzi, tego skorbut nie dotknie. Doktora wysłano i pokazano mu drzwi. Alieci w 1794 roku zdecydowano się włączyć do Wschodnich Indii całą górę cytryn. Niech się dzieje. Dziw nad dziwy wszyscy majtkowie wrócili z wyprawy cali i zdrowi, skorbut ominął Anglików szerokim łukiem, wybrał sobie inne zagłowce na miejsce czasowego postoju.

Jakież to odległe czasy. Dzisiaj wiemy już mnóstwo o witaminach, choć wciąż jeszcze nie wiemy wszystkiego. Tych witamin przy-bywa, zajęły już połowę alfabety od „A” do „PP”. Kto wie czy z czasem nie braknie liter w alfabecie? Zdaniem wielu, królową wśród witamin, jest witamina „C”. Odkrył ją i wyodrębnił z soku pomarańczy w 1928 roku Węgier, Szent Gyorgyi. Spytany co oznacza słowo witamina, odparł:

— „Nie udało się wyjaśnić ogólnego znaczenia słowa witamina”.

Poprzestano tedy na stwierdzeniu, że witaminy to związki organiczne o różnym działaniu.

Witamina „C”. Znajdziesz ją, w dzikiej róży, czarnych porzeczkach, cytrynach, truskawkach, kalafiorach, innych warzywach. Dr Crandon spec nad spec w tej dziedzinie, tytułem próby tak długo wystrzegał się witaminy „C”, aż go skorbut schwył w objęcia. Dr Crandon usiłował wtedy biegać. Puścił się klusem przed siebie, lecz po 16 sekundach upadł kranocowo wyczerpany. Kiedy mu jednak wstrzyknięto 1000 mg witaminy „C”, doktor mógł biec bez przerwy przez całą minutę. To cudowny lek, witamina „C”.

Kto w marcu i kwietniu poczuje zmęczenie, kogoś będa nękać bóle głowy, senność, kto w ogóle zaczyna wpadać w apatyczną zadumę, niechaj sięgnie po witaminę „C”. Dostarczają jej w naturalnej konsystencji „badylarze” z Rudy, Ksawerowa, dostarczają też awia-

ki, tyle że w pastylkach. A może robi się zbyt wiele wrzawy wokół witamin? Może to przemijająca koniunktura, moda na schudnięcie i nie więcej?

Może jednak „kotlet wie-przowy jest najlepszą jarzyną”?

Kto tak sądzi i postępuje zgodnie ze swymi przekonaniem, co jak wiadomo jest rzadkością, ten niech się potem nie dziwi, gdy zwał się nań liczne dolegliwości. Kto nisko sobie ceni witaminy, temu łojotok powyrwawia włosy z głowy, suchość polamie paznokcie, w rany zamieni kaciłki ust, temu wyskoczą plamy na skórze, a zęby zaczną się trząść.

Istnieje pogląd, że w Ameryce — tam właściwie o-ceniają witaminy. Tymczasem wybitni specjaliści Amerykanie Bicknell i Prescott pi-szą w „The vitamins in medicine”.

„Spośród 1000 robotników w badanej fabryce aż 4/5 nie pobierało w posiłkach niezbędnych ilości witamin. Tylko 2 procent dzieci białych i 3 procent dzieci murzyńskich wśród 6.000 uczniów w różnych szkołach, otrzymywało w pożywieniu potrzebną ilość witamin. Jedna trzecia spośród odrzucanych przez komisję porobowe rekrutów, to młodzi ludzie, którzy dlatego nie są zupełnie zdrowi, bo za mało spożywali witamin”.

Tak się dzieje w bogatych Stanach Zjednoczonych.

Nie ma podstaw, by sądzić, że my odżywiamy się rozsądniej, bardziej prawidłowo. Może by więc na początek zastosować chwyt prosty, a skuteczny? Wrzucić przez okres zimy do każdego kotła w fabrycznej stołówce czy restauracji iles-tam pastylek z witaminami różnej klasy i mocy? O nie obywatelu, to nie przejdzie; nie ma zarządzenia. Uchwały brak.

Albo, sałatka. To witamina „E”, biada mężowi, który lekko sobie ją waży.

Witamina „E” zaraz po jej odkryciu, wywołała duże zainteresowanie wśród starszych panów. Ponoć w sposób niewiarogodny wzmacnia męskie sily. Wielka tkwi potencja w niepozornej sa-latce. Pełno również witaminy „E” w... otrębach. Wie-dzieli nas przodkowie czemu tyle otrąb rzucali akura-rat wieprzkom, oj, dobrze wiedzieli. Otręby, otręby to za nimi wzdychają dziś zimi ni Anglii. Całą winę zwałają teraz na białą jak śnieg mąkę. Doigrali się, kto im kazał gardzić czar-nym chlebem. Ci Anglii w żalu wielkim ułożyli taki nawet dwuwierszyk:

„White flour does more than Malthus can to sterilise the Englishman”.

Dosłowny przekład — „biała mąka więcej robi by wysterylizować Anglika, niż może to zrobić sam Malthus”. Ten Malthus wraca znowu do łask. To on pierw-szy przewidywał wybuch bomby „P”-populacyjnej. Ta bomba rzeczywiście wybu-cha. Zdaje się jednak, że nam nie grozi. Biała mąka działa niechybnie, jest pozabawiona plewek i łuski, w których aż się roi od witaminy „E”.

Łodźianie wiedzą co ro-bią. Zjadają codziennie 10 tysięcy główek sałaty. Ale o otrębach jakoś głucho...

JAN BABIŃSKI

Przedstawiciele pokolenia czterdziestolatków i starszych mówią z żalem i tęskną w oku, a nawet z nie dającą się ukryć zazdrością o tym, że w okresie ich dzieciństwa i młodości nie mogli korzystać z takich ułatwień w zdobywaniu wykształcenia, jakie posiadają nasze dzieci.

Nie wszyscy jednak zazdroszczą młodemu pokoleniu i z żalem wspominają swe zmarnowane lata młodości. Są i tacy, którzy w myśl znanego przysłowia „Na naukę nigdy nie za późno”, podejmują ją, nie bacząc na swój „siwy włos” lub fakt, że ich dzieci są często w wyższej niż rodzice klasie. W skali krajowej liczba tych „niezwykłych” dorosłych uczniów wynosi w szkołach podstawowych przeszło 200 tysięcy i tyleż prawie w średnich szkołach ogólnokształcących i zawodowych, bowiem naukowe aspiracje dorosłych nie kończą się na szkole podstawowej.

W Łodzi, w stacjonarnych, wieczorowych szkołach średnich zawodowych uczy się 2700 osób, a zaocznie kształcą się aż sześć tysięcy dorosłych. Ponadto w średnich szkołach ogólnokształcących i zawodowych, bowiem naukowe aspiracje dorosłych nie kończą się na szkole podstawowej.

W naszym mieście istnieje 36 szkół podstawowych dla pracujących, do których uczęszcza w bieżącym roku szkolnym prawie 6 tys. osób. W tej liczbie jest 14 szkół dwuzmianowych, pracujących według jednakowego rozkładu rano i po południu. Dzięki temu robotnicy zatrudnieni na dwie, a nawet na trzy zmiany mogą bez przeszkód pobierać naukę raz rano, to znów po południu, już po wyjściu z fabryki. Mamy też 3 szkoły zwane niedzielnymi, gdyż połowa zajęć odbywa się tam w niedzielę, a reszta przez dwa dni powszednie tygodnia. Koncepcja szkół niedzielnych spობala się wy-brednym warszawiakom i zamierzają oni i u siebie, w stolicy utworzyć na modłę łódzka szkoły niedzielne. Szkoły niedzielne cieszą się dużym zainteresowaniem dorosłych nie tylko z powodu dogodnej organizacji zajęć, ale również z wysokiego poziomu nauczania.

Dorośli powyżej 35 roku życia mają także możliwość uzyskiwania świadectwa szkoły podstawowej na kursach z zakresu 7 klas, które najczęściej organizowane są na terenie zakładów produkcyjnych. Na kursach tych uczy się około 3 tysięcy osób.

Jak się zatem przedstawia problem kształcenia podstawowego dorosłych w Łodzi? Wydawałoby się, że szkoły powinny „pękać” od nadmiaru uczniów. Tymczasem tak nie jest. Istniejąca sieć szkół dla pracujących jest w stanie przyjąć jeszcze co najmniej połowę obecnej liczby uczniów bez większych trudności i prawie bez dodatkowych kosztów.

Nie mamy dokładnych danych dotyczących wykształcenia podstawowego mieszkańców naszego miasta. Deklarowane przy różnym rodzaju spisach wykształcenie indagowanych, bez jedno-czesnego okazywania świadectwa jest mało wiarogodne, bowiem wśród pytaných istnieje tendencja do podwyższania wykształcenia, co ma uzasadnienie psychologiczne w istniejącym pragnieniu posiadania takiego wykształcenia. Najlepiej i najdokładniej byłoby zarejestrować wykształcenie osób pracujących poprzez komórki kadrowe zakładów pracy, przy czym trzeba by żądać autentycznych świadectw szkolnych lub uwierzytelnia-

JAN JANICKI

Ani to fikcja ani rzeczywistość

jęcych odpisów. Tak czynią niektóre zakłady pracy. Z posiadanych materiałów statystycznych wynika, że 43,5 proc. zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej w Łodzi nie ukończyło szkoły podstawowej, co w liczbach rzeczywistych wynosi około 140 tys. ludzi. Dodać trzeba, że do szkół podstawowych dla dorosłych uczęszcza w obecnym roku 22 proc. uczniów nie pracujących. Zatem liczba osób dorosłych, nie posiadających wykształcenia podstawowego, jest znacznie wyższa.

Rozwijająca się z każdym rokiem mechanizacja i automatyzacja procesów wytwarzania wymaga wysoko kwalifikowanej obsługi maszyn i urządzeń. Każdy, nawet posiadający pełne kwalifikacje pracownik musi się co kilka lat doszkalać w zakresie swej specjalności zawodowej, bowiem postęp techniczny i technologiczny szybko wyprzedzają jego umiejętności fachowe.

Musimy sobie jasno powiedzieć, że za kilka lat ci pracownicy niekwalifikowani, którzy obecnie liczą 25—30 lat życia, nie bardzo będą przydatni w zakładach przemysłowych bez odpowiedniego przeszkolenia. Z drugiej strony zdajemy sobie sprawę z trudności kształcenia zawodowego ludzi, którzy nie posiadają pełnego wykształcenia podstawowego, bowiem bez niego stają się wtórnymi półanalfabetami, ledwo dającym sobie radę z pisaniem i czytaniem. Nieo-panowanie sztuki biegłego czytania i pisania nie pozwala na podejmowanie jakiegokolwiek kształcenia zawodowego.

Z uwagi na brak kwalifikacji zawodowych ludzie ci nie będą mogli być awansowani, co z kolei pozostawia im sobie za krzywdę. Pracodawca często usłyszy gorzką ich wymówkę: „Dlaczego nie żądaliście od nas wypełnienia obowiązku ukończenia szkoły podstawowej, gdy mieliśmy dwadzieścia kilka lat, byliśmy młodzi i łatwiej uczylibyśmy się wówczas niż obecnie będąc starszymi o 10—15 lat?”. Zarzut ten nie jest zbyt przekonujący, gdyż jak wykazują ostatnie badania, uczyć się można do późnej starości, ale nie jest też pozbawiony pewnej słuszności.

Cóż więc robią zakłady pracy aby zapewnić wszystkim dorosłym pracownikom zdobycie wykształcenia podstawowego?

Prowadzi się szumnie nazywaną „akcją rekrutacyjną”, która polega przede wszystkim na sporządzeniu list pracowników zakładu, „zobowiązanych” do dalszego kształcenia się. Często zaplani na liście czują się ludźmi napiętnowanymi, zmieniają pracę, dlatego też zakłady usprawiedliwiają swoją beczynność w werbunku kandydatów do szkoły podstawowej obawą o utracenie poszukiwanego na rynku pracy robotnika. Cała więc „akcja” z góry skazana jest na niepowodzenie. By pokazać jak ona często przebiega, przytoczę konkretny przykład:

Zakłady Przemysłu Pończosznego im. W. Jurczaka w Łodzi, ul. Sienkiewicza 63 sporządziły w 1961 roku w wyniku ożywionej akcji rekrutacyjnej listę osób, które winny uczęszczać do szkoły w roku szkolnym 1961/62. Na liście znalazło się 55 osób, ale naukę podjęło i VII klasę ukończyło tylko 7 osób. W następnym roku szkolnym 1962/63 po interwencjach szkół i nauczycieli w niej zatrudnionych, kierownictwo zakładu zgłosiło listę „zobowiązanych”, zawierającą już tylko 19 osób. Do szkoły zgłosiło się trzech pracowników. Czyżby pozostałe z ubiegłorocznej listy osoby ukończyły szkołę? Na pewno nie, ale na nowej liście wymieniono tylko jedno nazwisko z poprzedniej listy. Prawdopodobnie dyrekcja i miarodajne czynniki uznały za wystarczającą „karę” figurowanie nazwisk pracowników przez cały rok na liście „zobowiązanych” do nauki i w obawie, by pracownicy nie porzucili pracy w macierzystym zakładzie, za niechano dalszego straszenia ich szkołą i tym, że muszą się uczyć.

Jak więc w rzeczywistości przebiega akcja rekrutacyjna? Po prostu dla świętego spokoju strony władz nadrzędnych sporządza się w zakładzie listę pracowników, którzy nie posiadają pełnego wykształcenia podstawowego i wysyła się ją do szkoły. Niech się nauczyciele martwią, czy wymienione w liście osoby przyjdą do szkoły, czy też nie.

Pragnę stwierdzić, że ZPP im. W. Jurczaka nie są wcale najgorsze. Mimo iż w planie szkolenia w zakresie szkoły podstawowej na lata 1960—65 zobowiązały się one skierować do szkoły 169 osób, a dotychczas szkołę ukończyło około 20 osób, dalszych 3 pracowników uczy się w bież. roku, to jednak zrobili one pewien wysiłek i mogą się pochwalić chociaż takim sukcesem. Są jednak zakłady które sporządzają listy, przez które wysyłają do szkół, tylko ani jeden z pracowników nie podejmuje nauki. Łódzka Fabryka Zegarów, zgłosiła w bież. roku szkolnym 15 osób. Wynik? Okragłe zero.

Przeciętny odsetek uczęszczających w stosunku do zgłoszonych przez zakłady wynosi 15 proc., czyli co szósty, siódmy „typowany” rozpoczyna naukę.

W niełatwej sytuacji znajduje się szkoła. Władze szkolne wymagają od nauczycieli szkół dla pracujących zwerbowania odpowiedniej liczby uczniów. Nauczyciele dokonują bez mała cudów, chodzą do zakładu do zakładu i wprost zebrzą o kandydatów do szkoły. I oto wytwarza się paradoksalna sytuacja: rola nauczyciela takich szkół staje się podobna do roli właściciela prywatnego sklepiku, który otworzywszy drzwi, zaprasza gorąco przechodniów, by łaskawie zechcieli wejść do wewnątrz i



do przyjęcia kry spływającej z Odry. Jutro w Odrę wejdzie 19 lodolamaczy. Za parę dni znacznie się groźne życie rzeki.

Po jeździ pływają wesołe strumyczki wody. Brudny, topniejący śnieg chlupie pod nogami. W małej chałupince przy ulicy Jana z Kolna mieści się kapitanat wielkiego portu. Kapitan Adamski jest srogim — przepędza stada dziennikarzy ścigających tu z całej Polski na wieść o temacie, który się niefrasobliwie określa słowami „zamarzł nam Bałtyk“.

W zagrzaconym pokoiu starszego oficera portu trzej mężczyźni rozkładają płachty map. Niebieski kolor morza przykrywają platy białej — lód. Słucham kroniki tych lodowych dni.

Akcja lodowa na Zalewie zaczęła się 22 grudnia, w początku stycznia trzeba było z nią wyjść na pełne morze. Od stycznia Bałtyk zamarzał kilometr po kilometrze. Powstała bariera lodowa, szczególnie potężna na południowym wybrzeżu od Rugii aż po Kłajpedę, która zamknęła dojeżdża do wszystkich portów. Nie lepiej zresztą było i na zachodnim Bałtyku — Kanał Kiloński pozostał dostępny tylko dla bardzo silnych statków. Cieszą się duńskie również zostały całkowicie zalodzone. W połowie stycznia przyszło najgorsze: 70-kilometrowy przeważnie Kanał Piastowski łączący Szczecin z morzem zamarzał całkowicie. Jeszcze tylko kilka dni wybitnie silne jednostki przechodziły przez ten lodowy korek. Potem sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. Zamarzł całkowicie wschodni tor łączący Szczecin z Gdańskiem i Gdynią. Statki ze wschodu wracały do portu opływającego Bornholm. Jednostki pływające na liniach afrykańskich nie wracały do portów w ogóle, towary wyładowywały w portach Europy zachodniej. Armatorzy zachodnioeuropejscy wycofali swoje statki z Bałtyku. Pozostawili zdanii na własne siły. Ale statki musiały pływać i wozić towary. Cała Europa była głodna węgla i koksu. Trzeba było wykorzystywać koniunkturę. Rosły góry drewna, tysiące ton drobnicy, czeska tarcica — wszystko to zajmowało do ostatniego niemal metra place magazynowe portu. Trzeba było koniecznie otworzyć zamarznięte wrota. Straty sięgały już milionów i dziesiątków milionów złotych. 15 stycznia zebrała się po raz pierwszy Rada Lodowa w jej skład weszli wszyscy, którzy w żegludze na Bałtyku byli szczególnie zainteresowani, a więc kapitan portu, starszy pilotów, dyrektor portu, przedstawiciel DOKP, Agen-

cji Morskiej, Polskiej Żeglugi Morskiej i inni. Rada Lodowa stała się urzędem niemal dyktatorskim — tylko od jej decyzji zależał ruch okrętów na morzu i pocła-gów jadących z towarami dla szczyńskiego portu. Niemal jednocześnie rozpoczęto zwiad lotniczy. Piloci codziennie wypatrywali szczelin w lodowej przestrzeni. Kapitanowie statków znajdujących się na Bałtyku co sześć godzin zawiadamiali przez radio port o sytuacji lodowej w rejonie, w którym się znajdowali.

20 stycznia zakończył w szczyńskim porcie pierwszy pod polską banderą rejs, nowo zakupiony w Anglii lodolamacz „Perkun“. Załogę tego silnego statku (3000 KM — nawiasem mówiąc jedynego z prawdziwego zdarzenia lodolamacza jaki posiadamy) nie sądzono było pozostawiać długo na brzegu. W trzy godziny po przybyciu do nadbrzeża „Perkun“ wyszedł w morze. Poszły za nim „Światowid“ i „Koral“ oraz kilka holowników, żłobiąc w lodach Zalewu szeroką rynnę. „Koral“ pozostał w Kanał Piastowski, aby nie pozwolić rynnę zarosnąć lodem. Pozostałe jednostki wyswo-



Niewielka jednostka polska ugrzęzła w grubej krze lodowej
Fot.: Z. DMOCHOWSKI

razu nie uciekł się do wezwania pomocy ze strony jednostek silniejszych i lodolamaczy. Jak dokonał tej sztuki, jak w takich warunkach osiągnął regularność,

montowych. Ruszą więc w najbliższym czasie trzy nowe dźwigi i elewator zbożowy. Ale czy zajdzie w najbliższym czasie potrzeba aby ruszyły?

W zarządzie portu szczyńskiego panuje mimo wszystko optymizm. Dziś wszedł radziecki „Leonidow“, jutro wejdzie „Jednostka Robotnicza“. Mówią, — na podejściu mamy dwanaście statków: 19 „Kopalnia Miechów“ przywiezie 10 tysięcy ton fosforu, 21 „Huta Florian“ i „Huta Sosnowiec“ — 20 tys. ton fosforu i rudy, 26 „Kopalnia Zabrze“ przywiezie 10 tys. ton fosforu i natchmiast odepłynie z kokssem. W końcu marca „Huta Ferrum“ i „Kopalnia Czeładź“ przywieżą 20 tys. ton rudy z Konakry. Zacznie się ruch, będzie tłoczno na nadbrzeżach, port ożyje. Straty można odrobić.

Jest ciepło i u nas i nad morzem. Lód topnieje. Ale kiedy lody ruszą nie będzie wiele łatwiej. „Lód zaczyna chodzić“, kry będą dryfować, zwiększy się niebezpieczeństwo dla statków.

Ta zima wiele nas kosztowała, ale i wiele nauczyła. Teraz zima ustępuje, ale tam w Szczecinie myślą już o następnych. Układają się więc plany użycia odpowiednich statków w lodowych warunkach, utrzymania na stałe dwóch lodolamaczy — w Zatoce Pomorskiej i w Sundzie, zawarcia porozumienia państw zainteresowanych w sprawie zorganizowania stałego zwiadu lotniczego nad Bałtykiem itd. itd.

To droga nauka, ale nie jest źle, skoro wyciągnięto słuszne wnioski. I skoro panuje ten, jakby żyweć ze starych reportaży wiemy, ale szczerzy optymizm. „Straty można odrobić“.

MAREK WAWRZKIEWICZ

STRATY MOŻNA ODROBIĆ

bodżyli kilka statków na re-dzie i poszły dalej — uwalniać lodowych więźniów na pełnym morzu. I odtąd już się zaczyna to, co określamy uspokajającym terminem „częściowe opanowanie sytuacji“. Uspokajającym, gdyż Bałtyk zamarzł w 90 proc., a mimo to żegluga musiała przypominać normalną. Węgię rozpoczęła się żegluga — tak jak w warunkach wojennych — konwojowa, tyle że zamiast okrętów wojennych na czesłe szły holowniki i statki najsilniejsze. Zaczęła się żegluga w asyście lodolamaczy. Żegluga na przekór mrozom, silnym wiatrom i mimo groźby katastrof. Zanotowano kilka „ugrzeźnięć na twardo“, kilka zderzeń, kilkadziesiąt jednostek uszkodziło śruby, na skutek niskich temperatur puszczaly nity i woda ciekła do kadłubów. Mimo to płynęły statki do Danii, południowej Szwecji i Finlandii. Toczyły się prawdziwe batalie na nadbrzeżu i na morzu, wyrastały sylwetki pechowców i zwycięzców. W lutym chyba zaczęło powtarzać nazwisko kapitana S/S „Kolno“ (2,5 tys. ton) Tadeusza Wojciechowskiego. Na dźwięk tego nazwiska znacząco wy-ciągano brody i kiwno głowami. „As“ — mówiono. 8 marca kpt. Wojciechowski przyplął do portu w Szczecinie kończąc 500 rejs na trasie Szczecin-Kopenhaga. Ani

której mu pozazdrościć mogła łódzkie tramwaje — pozostanie to jego tajemnicą. „Koral“ został w Zalewie, „Światowid“ walczył w pełnym morzu lub przedzierał się do Gdańska, a nasza dumna „Perkun“ przecierała tor w Kanał Kiloński i w Sundzie. Mizernie tam wprawdzie wyglądał przy potężnych łożących 10 i 15 tys. KM lodolamaczach fińskich i przybyłym na odsiecz z Władystoku radzieckim, ale swoje robił. Nielatwa to praca. Kiedy statek taranuje (pełna w tył — pełna naprzód, — i huk!) wszystko leci na pokład, a przed dziobem biel otwiera się i woda wdziera się między kry długą, stopniowo poszerzającą się szczeliną. Nikt zresztą wtedy nie pracował lekko. Na pewno zawsze tam było kilkadziesiąt procent ponad normę. Ludzie pracowali, statki płynęły, a rezultaty... rezultaty były minimalne.

Za wczesnie jeszcze na szacowanie w cyfrach strat jakie ponieśliśmy. Nad tymi obliczeniami długo będą śle-czeli specjaliści. Ale wiemy już, że pierwszy kwartał został stracony. Przez dobre dwa miesiące w szczyńskim porcie przeladowywano za-miast 30-40 tys. ton na dobę zaledwie 5-10. Port nie przodował. „Straty można odrobić“ — pod tym hasłem prowadzono wiele robót re-

przekonać się, że oferowane przez niego towary są rzeczywiście dobre i tanie. Wszyscy zgadzają się, że nauka jest potrzebna, ale nie ma czynników, które potrafiłyby o tym przekonać zainteresowanych. Na pewno niedostatecznie do tych celów wykorzystuje się środki masowej komunikacji: radio, prasa i telewizja. Z praktyki wiemy, iż artykuł w prasie, lub ogłoszenie podane przez radio, skutecznie zachęcają do podjęcia nauki. Nie można obciążać nauczycieli wyłączną odpowiedzialnością za cały rozwój oświaty dla dorosłych.

Plaga naszych czasów jest dorywcza aktywność, a tu potrzebna właśnie długotrwałego i systematycznego działania. Dorosły człowiek zdaje sobie sprawę z trudności, jakie wiążą się z nauką, tkwią w nim poza tym inne opory. Nie wolno zbyt łatwo przed nimi ustępować.

Jedną z przeszkód na drodze do podjęcia decyzji uczenia się jest zbyt długi, zdaniem dorosłych, czas nauki. Nie ma jednak szybkiej metody zdobywania wykształcenia. Możemy natomiast dążyć do tego, aby program nauczania był atrakcyjny i przystępny, by kierować do szkół dla pracujących doświadczonych nauczycieli, widzących różnicę między uczniem-dzieckiem, a uczniem-człowiekiem dorosłym.

Władze szkolne czynią starania, by do pracy w szkole dla dorosłych pozyskać stałych, etatowych nauczycieli, ale nie zawsze się to udaje. W bieżącym roku szkolnym w łódzkim szkolnictwie podstawowym dla pracujących jest zatrudnionych tylko 25 proc. nauczycieli etatowych czyli własnych, pozostali „dotalują“ z innych szkół. Uczą też ludzie spoza szkolnictwa, a więc inżynierowie, pracownicy administracyjni fabryk,

a nawet ludzie całkiem przy-padkowymi, którzy znają jedynie kuchenną pedagogikę.

Stąd też zdarzają się wypadki stosowania w szkołach niewłaściwych metod pracy, niezgodnego z kwalifikacjami przydziału przedmiotów nauczania. W jednej ze szkół dzielnicy Górna przydzielił się biologowi historię, a dla odmiany polonistce usiłowało powierzyć nauczanie chemii, zamiast załatwić to odwrotnie, argumentuje się przy tym, że nauczyciel, w szczególności z wyższymi studiami, musi być w szkole omnibusem. Powierza się jednemu nauczycielowi prowadzenie nawet czterech różnych przedmiotów, o poziomie takiego nauczania lepiej nie mówić.

Idealnym wyjściem byłby stan, w którym każdy nauczyciel zatrudniony w szkole dla pracujących posiadałby specjalne przygotowanie za-

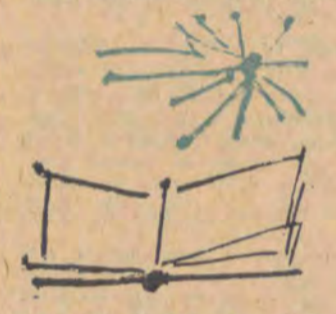
wodowe. W takim kierunku przygotowuje nauczycieli działająca w Łodzi katedra pedagogiki społecznej, która wznosiła działalność po kilkuletniej przerwie. Godne podkreślenia jest, że kształcąc w szkołach dla pracujących rodziców dzieci, które uczęszczają do szkół dziecięcych i młodzieżowych, rozbudzamy ich zainteresowania nauką własnych dzieci, a tym samym zapobiegamy drugoroczności, będącej jedną z przyczyn społecznego nieprzystosowania dzieci i młodzieży.

Szkoły dla pracujących obok dorosłych uczą i wychowują młodzież już w pewnym stopniu nieprzystosowaną społecznie. Skutecznie zapobiega dalszemu pogłębianiu się procesu odkształcenia społecznego tej młodzieży może pedagog społeczny. Zadaniem szkół jest ułatwianie tej właśnie młodzieży wstąpienia w społeczeństwo.

„LITERATURA LUDOWA“

W ubiegłym roku ukazały się zeszyty „Literatury Ludowej“ poświęcone folklorowi ziem sieradzkiej i łęczyckiej (nr 1-2) i ziem piotrkowskiej (nr 3), a rok wcześniej ziem łowickiej (nr 1-2). Winni jesteśmy sprawozdania z tych interesujących publikacji. Niestety, pokwitowanie serii zeszytów „Literatury Ludowej“, która dotyczy historycznych ziem Sieradzkiego, Łęczyckiego, i Piotrkowskiego, a więc ziem nas łodziańskich, nie jest zbyt późno. Czyżby to był tak zwany „znak czasu“.

Prof. Julian Krzyżanowski, który jest redaktorem naczelnym „Literatury Ludowej“ pisze, że nie mamy się czym chwalić na polu folklorystyki, nasze ubóstwo w tej dziedzinie — ma sporo



przyczyn, z których jedna jest wjawiskiem ogólnoeuropejskim, by nie rzec, światowym. Jest nią brak odpowiednich warsztatów pracy... nie mamy tedy archiwów folklorystycznych, nie mamy bibliotek, w których można by było znaleźć już nie tylko mniej lub więcej egzotyczne wydawnictwa, ale nawet nasze własne... Wystarczy zaznaczyć że w jednym z zeszytów czasopisma „Journal of American Folklore“, noszącym tytuł „Badania folkloru na szerokim świecie“ — wśród osiemnastu szkiców charakterystycznych prace prowadzone na całym świecie, brak jest szkicu odnoszącego się do Polski. Jednakże i u nas „powoli i nie bez oporów zaczyna dochodzić do głosu

rozumienie, że należy do-trzymać kroku poczynaniom światowym i że ruch wydawniczy, dzięki któremu rokrocznie ukazują się tomy i tomiki, zbiory i zbiorki, przede wszystkim bajek, musi koniecznie otrzymać zaplecze naukowe“. Zapowiedź imprezy wydawniczej (dziela Józefa Lompy, „Nowa księga przysłów polskich“, oparta na dziele Adalberga, i wreszcie „Lud“ Oskara Kolberga), sygnalizują zmiany na lepsze.

Zaledwie zaznakowana trój-taj sytuacja pokazuje jak cenna jest każda inicjatywa na polu badań folklorystycznych: dwumiesięcznik „Literatura Ludowa“, który ukazuje się od roku 1957, spełnia w tym zakresie bardzo ważną rolę. Dotychczas ukazało się 28 zeszytów „Literatury“ poświęconych róż-

nym regionom, zapowiedziany jest zeszyt łódzki, poświęcony folklorowi robotniczemu. Ważną pozycją w każdym numerze jest bibliografia folkloru omawianego regionu. Te zestawienia bibliograficzne znakomicie ułatwiają orientację czytelnika, który chciałby więcej uwagi poświęcić studiom nad folklorem danego regionu. Dla przykładu, bibliografia odnosząca się do ziem sieradzkiej i łęczyckiej za lata 1945-61 wynosi 342 pozycje; do ziem łowickiej — 102. Każdy zeszyt „Literatury“, komponowany według ustalonego schematu, oprócz rozpraw, bibliografii i części ogólnej zawiera teksty ludowe, a więc pieśni, opowiadania i baśnie, opisy obydwój (jak opis wyzwalań na kosiarzy w Łęczyckiem, Turonia w okolicach Woborza i Tomaszowa Mazowieckiego, Pasyjki w Ciszowej czy wesela w Łowickiem. Zapisy te uzyskane drogą wywiadów i badań ratują niejednokrotnie przed zapomnieniem niejedną cenną pieśń czy gawędę. Niektóre zaś świadczą, jak nowe warunki społeczne i polityczne wpływają na tworzenie się nowego folkloru dochodzącego do głosu w nowych pieśniach i nowych opowiadaniach.

W dziale „Rozprawy i prace naukowe“ wymienić należy prace Haliny Konecznej o gwarze łowickiej („Lit. Lud“, 1961, nr 1-2) i Mię-czysława Szymczaka o gwarach sieradzkiej i łęczyckiej (zeszyt 1-2, 1962 r.). O dziełach regionu łowickiego pisze Henryk Świątkowski: o dawnym Łęczyckiem i Sieradzkim Bohdan Baranowski, którego praca, poszerzona, weszła do tomu „O kultu-rach, wiedzmach i wszech-tecznicach“ (szkice z obyczajów XVII i XVIII w.); o regionie łódzkim ciekawe „zakożenia dyskusyjne“ wysuwa Kazimiera Zawistowicz-Adamska (1962, zeszyt nr 3). Autorka pisze o trudnościach, jakie występują, gdy dążymy do wytyczenia granic pewnego regionu tylko na podstawie zespołu cech z zakresu kultury ludowej. „Płynność i zmienność zjawisk kulturowych na określonym obszarze — pisze K. Zawistowicz-Adamska — jest wynikiem nie tylko złożonych procesów historycznych z dawną i bliższą przeszłością, lecz także przemian współczesnych, które decydują o nowej rzeczywistości gospodarczo-społecznej, nierozzerwalnie związanej z procesem regionalizacji kulturowej tegoż obszaru. Nowe regiony gospodarcze w naszych oczach stają się zarazem obszarami historyczno-

Dalszy ciąg na str. 11

nym zespołem uczniowskim, potrafia się uczyć, osiągają dobre wyniki, rozwijają się intelektualnie i to trzeba u nich cenić.

Trzeba pamiętać, że nie pozbawieni są oni kłopotów, już samo godzenie obowiązków pracownika, ucznia i członka rodziny jest niełatwym problemem życiowym.

Uczniowie dorodli są na ogół ambitni i dlatego zasługują na pomoc szkoły i kierownictwa zakładu pracy. O zakładach pracy już mówiliśmy. Bimbają sobie w większości wypadków. O pedagogice dla dorosłych też mówiliśmy, nie ma jeszcze takiej pedagogiki: Przez kilkanaście lat siłą faktu infantylny podręcznik dla dziecka służył i dorosłemu. To swoiście upupianie ludzi pracy trwa nadal. Trwa tedy ten osobliwy stan — ni to fikcja, ni rzeczywistość.

JAN JANICKI

MIASTO UBOGICH KREWNYCH?

Dalszy ciąg ze str. 1

— orientuje w sytuacji. Możemy np. powiedzieć, że jeśli chodzi o czytelnictwo Łódź jest ubogim krewnym Koszalin. No bo to jest tak: jedna biblioteka przypadać powinna na 10 tys. mieszkańców, w Łodzi przypada na 16 tys. a w Koszalinie na 7 tys.

Możemy jednak i wreszcie powinniśmy powiedzieć znacznie więcej. Wiele publicystów darto już szaty z powodu obniżenia rangi książki w potoczny życiu kulturalnym. Telewizja, film i może coś tam jeszcze nowomodnego obniżają tę rangę. Bardzo możliwe, tylko, że my także deprecjonujemy rangę książki. Już mi nie chodzi o to, że oszczędności, konieczne przecież, powodują obniżanie nakładów, zostawiam na boku rozważania o trudnościach z papierem. Nie było trudności, a utrzymuje się przecież od lat jakiś nieuzasadniony nonsens.

W Polsce przypada średnio 1,1 książki na jednego obywatela, w Łodzi — 0,6 książki. Na każdą setkę ludzi w naszym kraju przypada — 12,85 czytelników, w Łodzi — 6,4 czytelników. Mowa o roku 1961. Czy stan ten zwinąłby niepogody, śnieg, deszcze, mrozy, słońce? Czy raczej brak tego, czego ze świecą szukamy — brak rozsądnej polityki kulturalnej w zakresie czytelnictwa. Czemu to nie można tego w Łodzi, co można w Koszalinie?

Stwierdzamy fakt — księgozbiory powiększają się, ale powiększają się bodaj najwolniej w kraju. Księgozbiory starzeją się, ale u nas starzeją się bardzo szybko. Na Balutach trzeba wymienić 5,5 tys. woluminów, na Widzewie prawie połowę tego. Wydajemy, oczywiście, pieniądze na zakup książek, tylko że Koszalin wydał 5 złotych rocznie na jednego mieszkańca, my zaś — 1,9 złotego. I wcale nie zamierzamy wydawać więcej, lecz akurat przeciwnie. W ubiegłym roku wydatkowano 1,290 tys. złotych, na ten zaś rok przeznaczają władze miejskie tylko 630 tys. zł. Nie ma, rzecz prosta, takiej decyzji, której wysokie czynniki nie potrafiłyby uzasadnić. No, ale jeśli uzasadnia, okaże się tylko tyle: „oszczędzaj na kulturze” — oto nasze hasło!

BIBLIOTEKARZE TEŻ SĄ BARDZO SMUTNI

Nie mogą być weseli, bo i z czego? Znowu powracamy do Koszalina, gdyż tam bibliotekarz zarabia przeciętnie 1,500 złotych, u nas 1,025—1,050 złotych. Przecież jednak to jest ważne ile człowiek zarabia. U nas stałe brakuje bibliotekarzy, nie ma kto przyjmować nowych książek, nie ma kto ich opracować, stąd też nieprawdopodobne sytuacje. Zdarza się wcale nie tak rzadko, że biblioteka jest nieczynna z powodu braku pracowników. Miesiącami nieczynna. Cóż to zresztą za biblioteka! Brak miejsca na książki, tym bardziej więc brak na spotkania czytelników z autorami książek, ludźmi nauki, czy w ogóle ciekawymi ludźmi. A przecież wszędzie tam, gdzie jest trochę miejsca spotkania takie odbywają się, biblioteka jest ośrodkiem życia kulturalnego, tworzy stałe środowisko, rozwija pożądane zainteresowania, uczy mówić o książce, uczy ją rozumieć. Nasi bibliotekarze bardzo są dzielni, robią co mogą. Ostatecznie to prawda, że liczba wypożyczeń na jednego czytelnika wynosi u nas 24 książki rocznie, a przeciętna krajowa tylko 18,5 książek.

Więc ten smutek budzą bardzo kiepskie warunki materialne i rzeczowe. Z rozmieszczeniem bibliotek także nie jest najlepiej. Baluty mają 14 bibliotek, a Widzew tylko 7, za widzewskim mostem w ogóle biblioteki nie uświadczysz. W zagęszczeniu Śródmieścia doliczyc się można ledwie 8 bibliotek, na Górnej także — 8.

Rozmieszczenie księgarń stanowi rozdział sam w sobie. Śródmieście posiada 22 księgarnie na 37 instytucjach. Widzew tylko 4, Poleśie także 4, Stoki, Dąbrowa, Chojny, Teofilów, Ruda wcale nie mają księgarń. Ktoż z szeregu dzielnic zdąży po nową książkę, skoro proza znika w ciągu kilku dni, a nawet kilku godzin? To znikanie wcale zresztą nie świadczy o powszechności odbioru, wielkie miasto zawsze posiada kilka tysięcy miłośników książki, którzy wykupują natychmiast wszystko co nowe i ciekawe.

Bibliotekarze są smutni, niektórzy z nich powiada, że należy raczej nie produkować buble, a za te pieniądze dać ludziom nowe biblioteki. Mówią coś o milionach metrów tkanin, nadgniłych ciuchach, nikomu niepotrzebnych krawatach, podobno jest tych krawatów dobre kilkadziesiąt tysięcy. Nie dziwcie się naiwności, ludzie, którzy kochają książkę i wierzą w jej siłę oddziaływania, nie zawsze znają prawidła produkcji. Przecież buble być muszą, prawda? Jakby to było bez buble, no nie?

Sieć bibliotek miejskich powinny uzupełniać związkowe, bardzo imponujące pod względem statystycznym. 187 bibliotek związkowych i 113 punktów bibliotecznych — te cyfry mogą zaimponować laikowi. W gruncie rzeczy i tu obraz jest smutny. Połowa tych bibliotek nie posiada nawet po 500 woluminów, około 30-tu nie posiada nawet tysiąca książek. A wszystkie są dostępne tylko pracownikom określonej instytucji, nigdy zaś szerszemu środowisku z najbliższej okolicy.

Wreszcie pięć prywatnych wypożyczalni, które posiadają około 20 tys. książek. Spuśćmy zastanę na te wspaniałe księgozbiory. Wszystko co technicznie jest szmira, niedobrym sensacją, te książki łzawo, ci bohaterowie rozdzierający szaty nad trupami kochanek, taka właśnie literatura, jeżeli tylko zdoła umknąć kontroli, znajdziecie w tych wypożyczalniach. Wy-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

„I Festiwal Twórczości Kompozytorów Łódzkich” mamy już za sobą. Dla przypomnienia dodajmy, że odbył się on w dniach 7—10 marca br. pod protektorem i sekretarzem KL PZPR Michaliny-Tatarówny-Majkowskiej oraz przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi mgr Edwarda Kaźmierczaka. Projekt zorganizowania tej imprezy wysunął zaledwie parę miesięcy temu prezes Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego dyr. Andrzej Hundziak. Organizatorami Festiwalu były: Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, Koło Związków Kompozytorów Polskich, Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków i Wydział Kultury Prez. RN m. Łodzi. Festiwal nazwany został pierwszym. Wniosek stąd, iż nastąpią po nim dalsze, z czego bez wątpienia należy się cieszyć. Wypada poznać się teraz z założeniami organizatorów łódzkiego festiwalu.

A więc, w odróżnieniu od międzynarodowej i bardzo już popularnej „Warszawskiej Jesieni”, festiwal nasz miał charakter lokalny i raczej skromny. Nie na tym na szczęście kończą się różnice między imprezą stołeczną a łódzką. Zwany „Warszawską Jesienią” Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej ma charakter przeglądu twórczości wyłącznie eksperymentalnej. Charakter ten wypływa z założeń organizatorów imprezy posiadającej już kilkuletnią tradycję i ustalony, modernistyczny profil repertuarowy. W repertuarze „Jesieni” miały i mają szansę znaleźć się tylko te utwory, których twórcy zdecydowanie odwołują się do tradycyjnych metod kompozycji muzycznej. Nie ulega wątpliwości, iż „Jesień Warszawska” ma bardzo ambitne założenia i jest imprezą niezwykle potrzebna. Śmiało też można ją traktować jako polską imprezę muzyczną numer jeden. Tym niemniej z założeń jej wynika, że nie wszystko co dobre lub bardzo dobre muzycznie ma prawo znaleźć się w jej repertuarze. Stąd też płynnie konieczność organizowania poza „Jesienią” festiwalu innego nieco typu, w których każdy z kompozytorów miałby możliwość wypowiedzenia się swym własnym,

najbardziej odpowiadającym językiem muzycznym, którego program obejmowałby kompozycje różnych gatunków muzycznych: od utworów fortepianowych, kameralnych i symfonicznych, aż do pieśni chóralnych. Temu typowi festiwalowi odpowiadać miały w zasadzie Festiwal Łódzki.

Dla wysnucia pewnych wniosków konieczne jest zapoznanie się z programami poszczególnych dni festiwalowych. Na program inauguracyjnego, czwartkowego koncertu kameralnego złożyły się utwory Romana Izykowskiego, Andrzeja Hundziaka, Stanisława Mrońskiego i Bernarda Pietrzaka. Piątkowy i sobotni koncert symfoniczny eksponował utwory Karola Mroszczyka, Zbigniewa Szymonowicza, Izykowskiego oraz Tomasza Klesewettera. Przed południowy, niedzielny kon-

twórczości Krzemieńskiego zawarty jest w filmowej piosenie „Serce zalogi” — jedynym festiwalowym utworze reprezentującym dorobek tego kompozytora, utworze wykonanym przez chór męski ZPW im. Pietrusińskiego w Zgierzu pod dyktando Feliksa Kościńskiego.

Poważne zastrzeżenia można mieć nie tylko co do trafności doboru tematów muzycznych w koncercie kameralnym, można je także żywić w stosunku do programu koncertów symfonicznych. Co prawda w otwierającym Festiwal słowie wstępny Tomasz Klesewetter zaznaczył, że utworów pisanych z myślą o samym Festiwalu program nie zawiera. Mówca określił marcową imprezę jako festiwal remanentów, a więc festiwal utworów w pewnym sensie zdeaktualizowanych i nie mogących powiedzieć słuchaczom o aktualnym stanie łódzkiej twórczości muzycznej. Ponieważ od chwili pow-

chóralnych, zespołów co ważniejsze amatorskich i reprezentowanych nie tylko przez młodzież szkół i uczelni muzycznych, ale również zakładów pracy. W niedzielnym koncercie wystąpiły między innymi także takie zespoły, jak Chór Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Łodzi pod dyktando Z. Gruchalskiego, Chór Mieszany Spółdzielni Pracy „Witamina” z Dobronia pod dyktando M. Stanisławskiego oraz zespół zgierski, o którym już pisałem. Członkami tych zespołów byli w poważnym procencie ludzie nie pierwszej już młodoci. Ludzie ci śpiewali z takim samym zapalem jak ich dwudziestoletni koledy.

Pierwszy Festiwal mamy już za sobą. Nasi kompozytorzy i muzycy wkroczą niedługo (wierzmy w to) w okres przygotowań do drugiego. Rok, miesiąc, i pierwszy dzień II Festiwalu stają jeszcze pod znakiem zapytania, czego powo-

O festiwalu remanentów słów kilkaset

cert solistów zawierał w swym repertuarze utwory fortepianowe Kazimierza Rudzińskiego i Klesewettera oraz pieśni Bauera, Jurdzińskiego, Klesewettera i Mroszczyka. Na zamykającym Festiwal koncercie chórów oprócz pieśni kompozytorów wyżej wymienionych usłyszeliśmy utwory Władysława Raczkowskiego, Karola Prosnaka, Józefa Lasockiego oraz Witolda Krzemieńskiego. Zdaniem wielu wyższy indeks utworów i nazwisk kompozytorów nasuwa nieodparcie pierwsze zastrzeżenia. Trudno na przykład zrozumieć, czemu w koncercie kameralnym zabrakło utworów Witolda Krzemieńskiego. Zdaniem wielu wjaśnionych muzyka kameralna tego twórcy jest nader ciekawa. Organizatorom wydawało się prawdopodobnie, iż wystarczający obraz

stanowią projektu do zorganizowania Festiwalu minęły zaledwie trzy miesiące, brak utworów przeznaczonych na prawykonanie w ramach Festiwalu specjalnie dźwięc nie powinien. Czasu było istotnie nie wiele, a wynikająca z pośpiechu nerwowa atmosfera sprzyjała twórcom nie mogła. Skrupulatnie jednak studia nad wydanym przez Filharmonię specjalnym programem festiwalowym pozwalają sądzić, że impreza łódzka wcale nie musiała być aż w 80 proc. festiwalem remanentów. Mogłaby być nią tylko w 50 proc., gdyby ekspozycji doczekały się utwory kompozytorów młodszego pokolenia. Z przeprowadzonych przez mnie rozmów oraz programu filharmonicznego (numer 28) wynika, iż sobotni koncert symfoniczny nie miał być w założeniach pierwotnych powtórzeniem koncertu piątkowego. Nie miał być, a jednak był. W piątek, ósmego i sobotę dziewiątego marca Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej pod batutą Stefana Marczyka wykonała kolejno: Tryptyk na orkiestrę smyczkową Mroszczyka (prawykonanie tego utworu nastąpiło 3 kwietnia 1959 roku), Koncert fortepianowy Szymonowicza (prawykonanie 13 stycznia 1957 roku), Larghetto na skrzypce Izykowskiego, będące środkową częścią Koncertu Skrzypcowego napisanego w roku... 1951 oraz III Symfonię Tomasza Klesewettera (prawykonanie 8 stycznia 1960 r.). To, że piątkowy koncert poświęcony był twórczości autorów łódzkiej muzyki z prof. Klesewetterem na czele, sprzeciwu odbiorców budzić nie powinno. Ale powtórzenie tych samych pozycji następnego dnia sprzeciwu się domaga, domaga się tym bardziej, iż były utwory mogące się złożyć na koncert sobotni, utwory co najmniej niedawno powstałe i dotychczas niewykonywane. „Program” Filharmonii sugeruje swą treścią, iż utworami tymi miały być: Suita na orkiestrę smyczkową Hundziaka, „Koncert na trąbkę i orkiestrę” Mrońskiego oraz „Eufonia na trzy trąbki, trzy puzony, fortepian, dwie grupy perkusyjne i kwintet”. Bernarda Pietrzaka. Wypada tylko ubolewać, iż te utwory młodych kompozytorów nie znalazły miejsca w repertuarze I Festiwalu.

Stosunkowo najbardziej urozmaicony był program koncertu chórów, a więc imprezy zamykającej festiwal. Na program 10 chórów składały się pieśni 10 łódzkich kompozytorów. Przegląd twórczości chóralnej i wykonawstwa chóralnego najbardziej przypomina atmosferę to, co zwykliśmy nazywać mianem festiwalu. Godnymi uwagi były tu i utwory i pełni entuzjazmu wykonawcy, w wieku od lat pięciu do sześćdziesięciu. Festiwal chórów był dowodem, iż twórczość kompozytorów łódzkich nie ogranicza się do symfonii i kameralistyki. Był narazem dowodem, że miasto nasze posiada cały szereg dobrych i ambitnych zespołów

dem są najprawdopodobniej ścierające się z sobą dwie różne propozycje terminów. Grupa młodych kompozytorów proponuje rok 1964. Zdaniem ich festiwal należy organizować co roku. Zwolennikami organizowania festiwalu co dwa lata są kompozytorzy starszego pokolenia, widzący „II Festiwal Twórczości Kompozytorów Łódzkich” dopiero w roku 1965. Przychylił się zdecydowanie do terminu pro-



ponowanego przez młodych, wiejąc, że właśnie te krótsze odstępy czasu między poszczególnymi festiwalami zaktywizują jeszcze bardziej łódzkie środowisko muzyczne. Że znaczna część dopiętów twórców do pracy nad nowymi, tym razem pisanymi już z myślą o samym festiwalu utworami. Kontrargumentów drugiej grupy na pewno nie zabraknie, wiemy nawet już w tej chwili jak będą wyglądały. A więc, że co nagle to po diable i że młodzi w gorącej wodzie kąpani. Lepiej jednak nagle niż...

Łódzkie Koło Związków Kompozytorów Polskich istnieje od roku 1945, a jak wiemy inicjatywa zorganizowania I Festiwalu nie do niego należała, lecz do młodych, trochę zresztą — jak wynika z przebiegu festiwalu — skrzywdzonych. Aby w przyszłych festiwalach sprawiedliwości stało się zadość, proponujemy powołanie specjalnej komisji weryfikacyjnej, której celem byłoby wyłowienie spośród pretendujących do wykonania utworów naprawdę tych najwartościowszych. Tym sposobem organizowane festiwale odzwierciedlałyby rzeczywiste możliwości twórcze naszych kompozytorów. Proponujemy także dalszy krok naprzód w



kiepunku urozmaicenia rodzajowego przyszłych festiwalu. Wychodząc z założenia, że twórczość muzyczna nie ogranicza się do kameralistyki i symfonii, stawamy wnioski, o wciągnięciu do repertuaru mających nastąpić festiwalu muzyki wspierającej sztukę filmową, teatralną i telewizyjną, a więc muzyki ilustracyjnej, która często w poważnym stopniu składa się na wartość dzieła filmowego i audycji, a niesłusznie w przeglądzie dorobku kompozytorskiego jest pomijana.

Festiwal mamy już za sobą. We wstępie do programu festiwalowego Anton: Kędra pisał: „Miejmy nadzieję, że obecny — Pierwszy Festiwal Twórczości Kompozytorów Łódzkich stanie się początkiem nowej tradycji. Obymy po zakończeniu tego festiwalu powiedzied mogli: — Do następnego, drugiego Festiwalu w roku przyszłym”.

starczy spojrzeć na wystawy. Czas zgasić świecę, dość już chyba napatrzyliśmy się. W zakresie czytelnictwa, czy warunków pracy z książką — Łódź jest, niestety, ubogim krewnym Koszalin. Ale czy musi?

WNIOSKI PRAWIE OPTYMISTYCZNE

Jest, w Łodzi nie mało zapadłych dziur, naturalnych miniaturowych dzielnic, skąd bardzo daleko do kultury. Tam trzeba lokować biblioteki. Ale przecież ich praca nie może polegać tylko na wypożyczaniu książek, tam musi dotrzeć ciekawy, żywy człowiek. Myślę o spotkaniach, gawędach, wymianie zdań dyskusji, myślę o formowaniu chociażby i maleńkich, ale konkretnych środowisk, skrzykiwaniu miłośników książki. Szereg naszych bibliotek, które posiadają odpowiednie warunki, tak już właśnie pracuje. Lecz brak lokalni, trzeba więc ich szukać. Wiem, wiem, pisano o tym nie jeden raz, ostatecznie w naszym kraju najcierpliwsi są publiczności, powtarzają nieustannie: policzcie ile to nowych bibliotek wybudowano w nowych osiedlach, a może ktoś się wreszcie zarumieni.

Nie można, naprawdę nie można dopuścić do tego, aby w tym roku wydatki na zakup książek były dwa razy mniejsze niż w ubiegłym. Stosunkowo niewielka pozycja w miliardowym budżecie, ale wstyd bardzo wielki. Można przeznaczyć tysiące złotych na złe przemysłowe i nieudany konkurs literacki, można budować bardzo brzydkie pomniki, a dobrych książek nie można kupować? Można angażować środki społeczne na pomoc dla kiepskiej telewizji, a nie można takiej akcji spróbować na rzecz dobrej książki?

Powiem jeszcze prawdziwą rewelację — ludzie w Łodzi pracują, brak więc im czasu. A przecież wszystko co dzieje się dookoła ma swoje terminy. Kino, teatr, radio, telewizja, to wszystko trwa „od — do”. Tylko książkę można czytać w czasie rozmaitych świąt. Ale właśnie w tym wolnym czasie biblioteki są zamknięte. Dlaczego? Czy nie mogą być otwarte?

No i na zakończenie kilka słów o sprzecznej ze sobą dwoistości naszego systemu bibliotecznego. Wielkie cyfry, a połowa z tego to maleńkie punkciki biblioteczne, po kilkaset zaledwie książek. Aż się prosi o energiczną akcję zealenioną. Nie tylko zresztą taką. Przecież ponad 400 tys. tomów marnuje się w zamkniętych dla szerokiego ogółu bibliotekach związkowych. Czas tu otworzyć szeroko drzwi dla wszystkich.

Rozumiem, nie są to wnioski na wielką skalę. Mają jednak tę zaletę, że w naszych trudnych obecnie warunkach dadzą się realizować bez wielkich wstrząsów, takich jak np. zmiana ustroju, czy wstrzymanie kredytów na budowę europejskiej opery w mieście ubogich krewnych.

RED.

sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

KOBIETA

- istota nieznaną

Każdy mniema, że to co jest najbliższe i z czym ma się na co dzień do czynienia, zna się najlepiej. Tymczasem właśnie to zna się najmniej. Gdyż przez swą powszedniość i zwyczajność, przez naszę z tym obycie, uchodzi naszej uwadze. Wie o tym doskonale każdy psycholog. Tylko rzeczy niezwykłe i niespodziane budzą naszę zaciekawienie i chęć ich poznania. Tak samo ma się sprawa z ludźmi. Obcy zawsze budzą w nas większe zainteresowanie niż swoi.

Swoi nie budzą takiej chęci ich poznania, jak obcy, gdyż tak jesteśmy z nimi oswojeni, że wydają nam się nieciekawi. Stąd zjadłszy z nimi nieraz beczkę soli, stwierdzamy, że nie mamy o nich nic do powiedzenia. Po prostu ich nie znamy.

Podobnie jest w stosunkach między mężczyzną a kobietą. Obie strony uważają, że się doskonale znają. Tymczasem praktyka życia wykazuje, jak bardzo się mylą — zwłaszcza mężczyźni. Przyrodzona niejako niezrozumiałość męska czyni ich

— jakże często ślepowidzami. Doświadczenie wykazuje, że nigdy się tak kobieta nie pomyli w ocenie mężczyzny, jak mężczyzna w ocenie kobiety. Cała literatura piękna, cała sztuka od początków swego istnienia świadczy o tej niewątpliwie przewadze kobiety nad mężczyzną. Kobieta zawsze wie, co mężczyzna może uczynić — mężczyzna bardzo rzadko. Przecież Kreon niby znalazł jako swoją krewną Antygone, ale czy przewidział, co może uczynić, kiedy zakazał pogrzebu jej brata Polinika, który poległ w walce przeciwko niemu? Nie przewidział, a więc jej właściwie nie znał. Ale ona dobrze go znała, bo w rozmowie z siostrą Ismeną z góry przepowiedziała, co on uczyni. Albo weźmy na przykład znaną biblijną Judytę, zabójczynię Holoferneza. Kto tu kogo lepiej poznał zaraz od pierwszego wejścia i kto nad kim zapanował dzięki lepszemu rozpoznaniu się w psychice drugiego? Naturalnie, że Judyta, co pozwoliło jej uśpić czujność otumanionego pychą własną wyjątkowością Holoferneza i w jego własnym namiocie otoczonym zbrojną strażą zarzącać go jak barana.

Wszystkie dramaty Szekspira, to jeden wielki hymn na cześć przewagi kobiety nad mężczyzną. Przewagi przede wszystkim duchowej, ale także nerwowej i fizycznej. Dość przypomnieć, abstrahując na razie od kwalifikacji moralnych, lady Makbet, Kleopatrze, Julię Kapuletty czy Desdemonę. Wszystkie one pod każdym względem górują nad swymi partnerami — i to jakimi! Marek Antoniusz to wcale nie był osiłek, a jednak jakże nędznie i śmiesznie przedstawia się w zestawieniu z Kleopatrami. Bardzo ciekawe jest porównanie tego dramatu Szekspira o „Antoniuszu i Kleopatrze” z głośnym swego czasu dramatem Bernarda Shawa pt. „Cezar i Kleopatra”. Okazuje się, że i sam genialny imperator, boski Juliusz, był po prostu naiwnym prostaczkiem w stosunku do przebiegłej i wyrafinowanej także politycznie królowej Egiptu. Analogicznie w „Mezu przeczniczenia” Shaw ośmiesza Napoleona, zwycięzcę spod Wagram, czyniąc go ofiarą podstępnej zwykłej salonowej kocietki. Podobnie ma się sprawa porównania mężczyzny z kobietą w drama-

tach słynnego norweskiego dramaturga Henryka Ibsena. Wystarczy wymienić jego „Upióry”, „Dziłą kaczkę”, „Nora” lub „Hedde Gabler”.

Ktoś może powiedzieć: no cóż, to tak w literaturze tylko mężczyźni pochwlebiają kobietom, zwłaszcza, że ta galanteria nic ich nie kosztuje, dając im niejako rekompensatę w sztuce za swą nad nimi przewagę w życiu. Ale to nieprawda! I w rzeczywistości kobiety górują nad mężczyznami, jeśli chodzi o wzajemną znajomość i zdolność odczytywania tego, co w drugim siedzi. To przecież Joanna d'Arc, prosta dziewczyna z ludu, górowała instynktownym zmysłem politycznym nad Delfinem i całą zgrają dworskich statystów kutech w skomplikowanej grze podstępów dyplomatycznych i strategii aktualnej polityki. A co zawdzięczał przewadze kulturalnej i duchowej swej chuchrowatej Francuzicy nad sobą sławny zwycięzca spod Wiednia, można się dowiedzieć z uroczej książki Boya-Zeleńskiego pt. „Marysienka Skobacka”. A więc historia czyli fakt realny, jednym słowem życie samo potwierdza w tym względzie literaturę i

sztukę, które bynajmniej dotąd nie zakończyły jeszcze procesu pokazywania i poznania nowych i dalszych przykładów przewagi kobiet nad mężczyznami. Główna swego czasu sztuka teatralna „Obrona Ksantypy” L. H. Morstina była wyrazem protestu przeciwko powszechnemu zakłamaniu o rzekomej słabości kobiet i przewadze intelektualnej mężczyzny. Okazuje się, że plynęło to z niedostatecznej znajomości kobiet. Nawet Sokrates był ignorantem pod tym względem.

Kobieta, istota nieznaną — oto problem, który dotąd jest i nadal jeszcze długo będzie aktualny w literaturze, bo aktualny jest także w rzeczywistości. Kobieta wprawdzie nie jest już zagadkowym sfinksem, ale też nie jest jeszcze całkowicie rozszyfrowaną tajemnicą. Na tura uczyniła ją bardziej złożoną i skomplikowaną od mężczyzny, stąd ta jej tak ponętna dla literatury i sztuki zagadkowość pod postacią „wiecznej kobiecości”, o której mówił Goethe w „Faustcie”, że „zieht uns hinan”, uosobionej choćby w nieśmiertelnej „Giocondzie” Leonarda da Vinci.

JADWIGA

SŁOMCZYŃSKA

10 września 1862 roku odbył się w Kaliszu w Kościele św. Mikołaja ślub 20-letniej Marii Wasilowskiej, córki kaliskiego prokuratora, z trzydziestoletnim Jarosławem Konopnickim, ziemianinem z majątku Bronów koło Podębca. Zaraz po ślubie młodzi parostwo Konopnicy ucałowało się do Bronowa. Jakkolwiek Bronów obejmował obszar 40 wiosek, dwór był skromnym domkiem, krytym słomianą strzechą. Wysokie drzwi sięgające dachu prowadziły do sieni, skąd na prawo znajdował się salonik, na lewo pokój jadalny. Na dole było pięć pokoi, na górze dwa małe pokoiki; jeden z nich, w szczytce, był później dla Marii najmilszym schronieniem.

Drobna, jasnowłosa panienka, trochę egzaltowana i niesmiała, wychowana w surowym rygorze domowym, dobrze i pewnie poczynała się w roli żony i pani domu. Po cichym ojcowiskim domu, jakąż odmianą, tutaj, w tym małym dworku, panował ciągły ruch i gwar. W pół roku po ślubie, 8 marca 1863 r. tak pisze do swoich kuzynek:

„Przerzucając cię w inny świat — inne życie — dają ci nowe nazwisko, położenie i słunki — sercu nawet twemu każą być taktem jakichś obcych uczuć: Toć podziwić się wolno i nie od razu opamiętać się można. Zresztą, jestem trochę rozpieszczona i wiem bardzo dobrze, że się niektórzy na mnie gniewać nie mogą i nie powinni. Chociaż pewno wiesz, co się ze mną dzieje i wyobrażam sobie, że nie miałbyście mi za zię, gdyby dzień po dniu od owej środy, aż do dzisiejszej soboty — opisała Wam szczegółowo: może jestem zbyt zarozumiała sądząc, że jestem trochę zepsutym dzieckiem i że Bóg wie, co czasem przychodzi mi do głowy.

Otóż powiem Wam — że jestem bardzo — bardzo szczęśliwa. Nie wiem doprawdy, co stanowi to szczęście, czy serce i charakter Jarosława — czy szacunek i dobre imię, jakie tutaj mu powszechnie przyznają — czy ten mały, stary domek pod słomianym dachem — co wyświeżony jak uróżowa na babinka — zachował wszystkie cechy swoich — omal nie Matuzalowych lat — począwszy od pochylej postawy i niskich sutów belkowanych, aż do serduśkiej wyróżnionych w zielonych okienkach, nie wiem co się składa na moją swobodę, czy ten stary ogród z wielkim — przypominającym mi Wasze kasztany — jesionami i białodrzewami — z leszczynową i grabową altanką, w którym mój gapa Andrzej zbiera od dziś gasienice — czy też przychylność wsi całej dla dworu — a wiejskich gości itd., dla dworskiego rzępa i koniecznie — czy ranek niezbyt ranny — z trzaskającym od ognia kominkiem, czy wieczór zbierający nas do gazet i książki — dość, że jestem szczęśliwa i swobodna całym sercem!” i gdyby nie



Dworek w Bronowie

to nowość wcale niemiła. I zresztą jest wiele innych nowych rzeczy... ale są i owe stare wrażenia, myśli i uczucia, które jakoś przez życie przylgnąć umiały do serca i w pamięci i szczęśliwy człowiek, który ową kryjówkę duszy gdzie się te dawne szczątki zgromadziły przemienia w oltarz pamiętek — bo u wielu jest ona tylko śmietniskiem. Otóż w tym wspomnieniu rozglądając się nad wszystko lubując — i miałabym prawie ochotę zamiast pytania: co słycać nowego, przeczytać kiedy w Twoim liście „czy pamiętasz?”.

Jakże różny jest ton tego listu od pierwszego listu z Bronowa. Opadł mi entuzjazm i umieszczenie pierwszych miesięcy małżeństwa. Już Maria ogląda się za siebie w przeszłość i patrzy w przyszłość; bieżący dzień nie wydaje się tak radosny jak przed laty, już zasnęł go cień zamyslenia i melancholii.

Ciepły klimat bronowskiego dworku z wysokim siwowym dziedziem Wawrzynem w szarzej czamarcie, kucharzem Papierkowskim, z rozpięwaną piastunką Rozalką opisze Maria po latach w książeczce

dworowa na strych, gdzie znalazła sporą bibliotekę klasyków francuskich i niemieckich. Książki te „służyły już jako nogi przeróżnym faskom i skrzyniom kalekim, już to jako pastwa myszom, już wreszcie jako zapas bibliu dwom może pokoleniom gospodyń domu”.

Wrażenia z ówczesnej lektury były bardzo silne. Otwierał się przed Marią świat nowych myśli. Już nie duży jej się częsta nieobecność męża; ale też między nią a Jarosławem zaczyna zarysowywać się pewna obojętność. Jej krąg zainteresowań jest dużo szerszy, zasób wiedzy znacznie większy.

Czy Jarosław zauważył to oddalenie uczuciowe żony? Zajęty ciągłymi wyjazdami, procesami, opędzaniem się od wie rzyweł, rzadki ostatnio gość w domu, może nawet nie spostrzegł tej „zmiany dokonującej się w Marii. Ciągłe myślał o niej jako o nieśmiałej panience, której dziecinny wdzięk ujął go przed laty. Zdaje się też, że tak jak większość ówczesnych mężczyzn wolał, aby zainteresowania żony zamykały się w świecie domowych spraw.

Ale z Bronowem trzeba było się już żegnać — opuścić dom pod lasem, w który weszła przed jedenastu laty i który wówczas wydawał jej się ziemskim rajem. Konopnicy zmuszeni są sprzedać Bronów na bardzo niekorzystnych dla siebie warunkach. Wyszli z majątku zupełnie zrujnowani.

W roku 1873 przenoszą się do pobliskiego Gusina, który Jarosław wziął w dzierżawę. Warunki życia tej wsi zagubionej wśród piasków i błot były znacznie skromniejsze, dom dużo mniejszy. Ale Jarosław nie może wyrzec się swoich upodobań do polowań i kosztownych wyjazdów do miasta. Hojny dla chłopów i służby, pochłonięty sprawami innymi, mało dba o interesy własnej rodziny. Maria z trwożą zaczyna spoglądać w przyszłość. A przy tym już żyje we własnym świecie. Wszystkie nowe doznania domagają się przybliżenia w jakiś kształt. Pierwszy wiersz „Zimowy ranek” napisała w roku 1875, powstała go do „Kaliszanina” pod pseudonimem „Marko”. Następne wiersze „Idylla” i „Romans wiosenny” drukowane były już w Warszawie w „Biuszczu” i „Tygodniku Ilustrowanym”.

W roku 1877 Konopnicka opuszcza Gusin. Było to już odejście i właściwie rozżalenie się z mężem.

Potem była Warszawa, długie, zagraniczne podróże, lata tułaczki, jubileuszowy Żarnowiec i ostatnia przystań, Lwów. Ale zawsze najwierniej zachowała w pamięci ten równinny krajobraz poddębickiej ziemi i jemu poświęciła najpiękniejszą swą wiersz.

NARODZINY POETYCKIEJ SŁAWY

tararzy co mi w oczach błyszcza — i gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą” — rajem byłby dziś dla mnie ten dworek pod lasem, a aniołem — wasatym — Jarosławem”.

Posłubne wizyty składane w okolicznych dworach, imieniny, chrzciny, luczne, sąsiedzkie zabawy, całe to bujne towarzyskie życie nęciło Marię i poddała mu się z zapalem swoich 20 lat. Ale ten przyjemny okres życia nie trwał długo. Bo oto już jest rok 1863 i Polska cała stała w ogniu walk powstańczych. „Ale teraz, jakżeśmy stanęli na 7-mej czy ósmej wizycie w nieznanne jeszcze sąsiedztwo, tak ani sposobu wybrać się dalej i czasu mało — i myśl czym innym zajęta — prawie gorączkowa — wesoło lub boleśnie — pisze poetka w ogleńnych (ze względu na rosyjską cenzurę) słowach o tych pamiętnych dniach.

W jednej z pierwszych bitew pod Krzywosądem 22 lutego 1863 roku poległ brat Marii Jan Wasilowski, był podówczas studentem politechniki w Liège w Belgii. Przybył do Polski z oddziałem Mierosławskiego, który został ogłoszony pierwszym dyktatorem powstania.

Maria pisząc w marcu ów list od kuzynki nie jeszcze nie wie o śmierci brata. Być może, ukryto przed nią ten bolesny fakt, ze względu na jej stan — spodziewa się bowiem dziecka. Wspomina tylko o aresztowaniu Jarosława przez żandarmerię rosyjską i o rychłym jego uwolnieniu.

23 maja 1863 roku w odległości 5 kilometrów od Brono-

wa na polach wsi Niewiesz rozegrała się wielka bitwa, która tak polskim jak i rosyjskim oddziałom wyrządziła znaczne straty, ale nie przyniosła rozstrzygnięcia. Echa tych walk dochodzą do bronowskiego dworku — niepomyślne wieści budzą niepokój i przynębenie. Jest to dzień szczególnie pamiętny dla Marii — w tym bożym dniu kończy 21 rok życia. Kilka zaś dni potem, 1 czerwca, przychodzi, na świat jej pierwsze dziecko — syn Tadeusz. Akt jego urodzenia spisany został 31 lipca 1863 roku w kancelarii kościoła parafialnego w Uniejowie, w niedługim zaś czasie Konopnicy opuszczają Bronów i udają się do Niemiec, zamieszkując w Lipsku i Dreźnie.

Niewyjaśnione są bliżej przyczyny wyjazdu Konopnickich do Niemiec. Czy Jarosław bał się ponownego aresztowania, czy brał udział w powstaniu jako żołnierz, czy też pomagał tylko powstańczym oddziałom, jak czyniło to wielu ziemian, dostarczając żywności i amunicji? Czy zagrażał mu republika ze strony władz rosyjskich ze względu na młodszego brata Honoriusza, uczestnika bitwy pod Wielkim Łądem i Cekołem, uwiecznionego w Kaliszu? Wszystko wskazuje na to, że tylko względy natury politycznej zmusiły Konopnickich do śpiesznego porzucenia domu z małym dzieckiem w tak niepewnym czasie.

Wracają do Bronowa w roku 1865, po ogłoszeniu przez rząd rosyjski amnestii.

Jarosław zajmował się teraz nie tylko administracją

Bronowa, wiele czasu pochłaniała mu opieka nad majątkami sierot po powstańcach, uwikłał się też w różne procesy i sprawy sądowe. Często też wyjeżdżał do Turku, Łęczycy i Kalisza — procesowanie się aż do namiętności, na długie dni odrywało go od domu. Gościnnie i wesoło, lubił podejmować przyjaciół u siebie, lub odwiedzać ich, brać żywy udział w życiu towarzyskim, które powoli znów się odradzało po długim okresie powstaniowego przygnębenia. Ale dla Marii nie wrócił już nigdy ten beztrudny okres z pierwszych miesięcy małżeństwa. Już nie może towarzyszyć mężowi w częstych wyjazdach w sąsiedztwo. Obowiążył macierzyńskie przykują ją do domu. Dzieci jest już czworo — Tadeusz, Zofia, Stanisław, Helena a w liście z 8 czerwca 1868 roku, a więc w niespełna 6 lat po ślubie, donosi siostrą o przyświecie na świat piątego dziecka: „Pytacie się co u nas nowego? — powiadają, że nie już nowego pod stołcem podobno nie ma, a jednak prawie każda chwila życia obnażnia nas z czymś nowym — chociaż nie zawsze przyjemnym. Wieć i tutaj — lubo nie zasły żadnym nadzwyczajnym wypadkiem — dzieło dnia niepodobny i wiele rzeczy nowymi mam nawać ochotę. Nowym na przykład jest dla mnie, że znów o rok starsza jestem, a zatem mam mniej pretensji i znów zatem szafy są więcej puste i Piotrosia nie bogaci się moim kosztem. Nowością jest także piątą już dziecko Janek — więc i ciałniej u nas jeszcze i w no cy nie zawsze spać można, a

„Jak się dzieci w Bronowie bawiły” i w „Lalkach moich dzieci”. Bo jakkolwiek Konopnickim zagrzana już wówczas ruina majątkowa, nie się jeszcze nie zniemio w trybie ich życia, które tak scharakteryzuje w liście do brzoźnego woznińskiego: „Siera życia była huczna, szalona, w znaczeniu niedobrym o jasno, a tem życia były zjady, polowania, jarmarki”. Maria, której wychowanie było zgola niepraktyczne, obarczona drobnym dzieckiem, nie zdawała sobie zapewne jeszcze sprawy ze zdziałającej się katastrofy finansowej. Dom odwiedzali teraz oprócz gości również i liczni wierzyciele. Maria zaczyna unikać najsilniejszej atmosfery domu. Pisze we wspomnianym już liście do hrabiego Wodziszkiego, że od tej pory pozostał jej „jakowś wstręt do ludzkiego gwaru, do towarzyszywa w ogóle, a poządanie samotności, spokoju, prze stawania z przyrodą, zastuchanie się w szerokie cisze polne”.

W tym czasie wraca do intelektualnych upodobań wyemansowanych z ojcowiskiego domu. Otrzymała przecież wychowanie bardzo staranne, znała łacinę, niemiecki i francuski, a głośne czytanie poezji było codziennym zwyczajem jej pańskich lat.

Teraz w Bronowie w długich godzinach nieobecności męża zaczyna czytać. W liście do swej przyjaciółki Elity Orzeszkowej wspomina, że niedługo po ślubie, obchodząc wszystkie kąty swego królestwa, zawę-

odpisy str. 7

Konkurs z okazji XX-lecia PRL

Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi przy współudziale Związku Literatów Polskich - Oddział w Łodzi

ogłasza:
KONKURS OTWARTY
na powieść
tematycznie związaną z okresem 1944-1964 r.
Prace konkursowe w dwu egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem, należy nadsyłać na adres: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej - Wydział Kultury w Łodzi, ul. Ogrodowa 15 w terminie do

dnia 15 marca 1964 r. Uczestnik konkursu winien załączyć do pracy załączoną kopertę, opatrzoną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko i adres wysyłającego.

Zastrzegamy, że na konkurs można przysyłać wyłącznie prace dotyczące nie publikowane i nie zgłaszane do udziału w innych konkursach.

Przewiduje się przyznanie następujących nagród:

- I - 25.000 zł.
- II - 20.000 zł.
- III - 10.000 zł.

oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł każde.

Zastrzegamy prawo do innego podziału nagród przez sąd konkursowy z tym, że ogólna suma przeznaczona na nagrody nie ulegnie zmianie. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie również prawo do rozporządzenia nagrodzonymi pracami, a więc m. in. pierwszeństwa druku.

Do udziału w konkursie mogą przystąpić wszyscy zainteresowani, nie tylko członkowie Związku Literatów Polskich.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

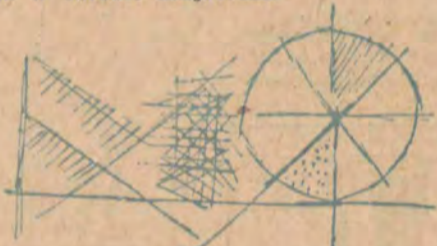
NIE O GŁOGU

Tu pod głogiem czerwień z poderzniętego gardła.
Przez liście słońce, rozżarzona płaska blacha.
Kamień w piasku - ptak który nie wyfrunął z gniazda.
Ptak - kamyk na gałęzi przywiązany do milczenia.
Niżej trawa w bezruchu żółta.
Nisko ziemia, otwarta, splekana ręka.



Z PAMIĘCI

W niebieskim niebie spalone drzewo,
powyginane, zgubione w koronie nagiej,
zburzony dom śpiewu,
szum strawiony z dokładnością listka,
pień wbity w pamięć z czarną krwią żywicy,
z martwym wróblem u spopieliałych nóg
poległym w obronie krajobrazu.



Z krajobrazu odleciały ptaki. Drzewo wchodzi w mróz.
W powietrzu szept gniących liści.
Pogody ściety pień nade mną.

Przechodzę trawy łąk.
Krzak róży rdzewieje w nieprzytomnym słońcu.
Nim do lasu wejść zamknę wszystkie okna.

Drzewo wchodzi w mróz. Ptaki krążą w oczach.
Muszę iść i świerki światła złamać.

Po tym czarnym mchu.
Przejdą białe głody.

WANDA
KARCZEWSKA

W tej amerykańskiej sztuce „Orfeusz w węzowej skórze” niewiele zostało z greckiego mitu o pięknym i młodym królu, który tak zachwycając grał na lutni, że nawet dzikie zwierzęta kładły mu się u stóp, aby słuchać jego pieśni. Niewiele zostało z mitu o zejściu Orfeusza do podziemi, do Hadesu, gdzie przebywały dusze zmarłych, gdzie była też dusza jego żony Eurydyki, której powrót na ziemię wyblagał swymi pieśniami Orfeusz i którą ponownie utracił, obejrzawszy się za nią w drodze na ziemię, wbrew zaleceniom bogów. Nie jest to oczywiście żadnym zarzutem, sztuka Williama Tennessee'go jest współczesną trawestacją greckiego mitu; Orfeuszem jest w niej Val Xavier, trochę pieśniarz, trochę włóczęga, bezrobotny i złodziejzsek, zmęczony swoim beznadziejnym procederem „sprzedawania się” po nocnych lokalach i kabaretach, szukający w chwili podnieśnienia kurtyny jakiejś godziwej, ludzkiej pracy. Orfeusz Tennessee'go nie zstępuje do piekieł; on właściwie przechodzi z jednego piekła, z piekiełka nocnych spelunek do drugiego kręgu piekła, do domu, w którym żyje obok siebie w zaciekłej nienawiści para małżonków, Lady i Jabe Torrance, gdzie jedno, jeszcze żywe, ale dogorywające na nieuleczalną chorobę, oczekuje własnej śmierci, a drugie, dawno umarłe psychicznie, Lady, czeka na tę cudzą śmierć, a własne wyzwolenie. To właśnie Lady Torrance jest owa amerykańska Eurydyka, którą wyzwolić z jej piekła przychodzi Val, Orfeusz z gitara.

Z woli Williama Tennessee'go to współczesne amerykańskie piekło jest w swoich realiach dosyć trywialne; jest to ni mniej ni więcej jak sklep towarów mieszanych, obuwia i czegoś tam jeszcze.

Piekło Lady Torrance jest nie tylko piekłem życia we dwoje. Ono ma szersze kręgi. Jest nim życie w tym społeczeństwie, którego pannotykalne obrazy widzimy na scenie i którego odgłosy słyszymy zza ścian, skąd dochodzi nas wycie psów rozszarpujących skazańców. Piekłem jest życie pośród tych ludzi, w tej krainie Dwóch Rzek, trwanie w

świecie, w którym jednostki, nie poddające się okrutnym prawom i zakłamanym obyczajom, muszą pod ich naciskiem schodzić na marginesy życia - w dziwactwo, pijanstwo, pólóbied, lub w śmierć.

I tak mocą nie wiadomo jakiej magii, nie, wiadomo jakiej, mocą magii scenopisarskiej Tennessee'go, przechodzą od realiów konkretnego środowiska i zdarczenia do metaforycznego widzenia świata, w którym rzeczy przestają być samymi w sobie, a fakty - jednostronne i jednoznaczne. Rzeczy i fakty stają się symbolami, a sztuka próbą uogólnienia; sztuka jest williamsowskim widzeniem świata w jego powikłaniach i sprzecznościach. W Valu Xavier widzimy człowieka nie godzącego się z brudem i zepsuciem, z zakłamaniem i z okrucieństwem Szeryfów i ich pomocników. Val Xavier urasta pod koniec sztuki do symbolu człowieka niepodległego z nieprawościami tego świata; pamięć po nim (w sztuce widomym znakiem tej pamięci jest jego kurtka z węzowej skóry) ma prowadzić jego następców tą samą niepodległą drogą.

W tej na pozór „ciemnej” sztuce - autorska wiara w niezniszczalność Orfeuszów-pieśniarzy o męcznych, czystych sercach, wiara w trwałość tego orfeuszowego pierwiastka, mimo śmierci sprzedawanej nosicielom tego pier-

Ważkim i zarazem bardzo dyskusyjnym w tym spektaklu jest problem scenografii, dzieło znanego warszawskiego scenografa, p. Mariana Stańczaka. Istotą niemal każdej sztuki Williama jest konflikt między marzeniem a rzeczywistością, między brzydota a pięknem, między brutalnością a delikatną kruchością. U Williama Tennessee'go nie tylko świat ludzi podzielony jest na „ciemność i światło”, świat przedmiotów także. Więcej, sprzeczność brzydoty i piękna realiów, otoczenia w jakim rozgrywa się akcja, wyraża sama sobą konflikt sztuki. Pięknem Lady Torrance jest nie tylko człowiek-sklepikarz i podpalacz, ale i miejsce jemu właściwe, ów sklep ciemnowy, pokryty plamami wilgoci i pajęczynami, ponure wnętrze z czarnym krawieckim manekinem na tle białej kolumny, ze skrzydłami wentylatora pod sufitem. (Autor w swoim poetyckim realizmie, w swej konwencji pisarskiej, świadomie posługuje się nie tylko chwytami nadrealizmu, ale i jego rekwizytami). Pięknem w tej sztuce, pięknem na miarę Lady, jest kawiarenka ze sztucznym księżycem i gwiazdami z papieru, z lampionami i sztucznymi kwiatami; pięknem jest właściwie pamięć o minionej młodości i miłości, które Lady chce sztucznie wskrzesić.

świadomy, szyderczy chwyt; wydaje mi się, że takie założenie chybia celu.

Rolę Lady Torrance pani Maria Kozierska zaliczy na pewno do swoich teatralnych osiągnięć. Rozegrała ją zresztą konsekwentnie nie tyle na wielkich, skrywanym pod maską chłodu uczuciach miłości i nienawiści, jakie zazwyczaj ukazuje w swoich sztukach Williama Tennessee, ten pisarz wielkich namiętności, ile na pokładzie nerwowości, zmęczenia, zniechęcenia, zniecierpliwienia, gorczy, zapatrzenia się w siebie i na głuchocie na cudze uczucia i cierpienie. Może nawet ta Lady jest nam bliższa w czasie, współczesniejsza, bardziej obciążona przez reżysera świadomością siebie i swoich czynów, niż rozgrzeszona z nich półświadomością swego działania przez autora, który raczej społeczeństwo czyni winnym powstawania psychik anormalnych, - Karoliny, Lady, Vee. Trudno tylko w tej koncepcji roli zgodzić się z dwiema scenami p. Kozierskiej, nieco fałszywie brzmiącymi, m. in. ze sceną Lady z Dawidem Cutrere, w której „idiotyżmem” ze strony Lady miały być nie liryczne wspominki, ale talony przez piętnaście lat wzbuch gniewu, gorczy i żalu za porzucenie jej kiedyś, czarnej, „zdanej na pastwę losu”. Lady właśnie tego wzbuch żaluje, niepotrzebnego i śmiesznego wobec taniego sentymentalizmu Dawida.

W początkowych scenach p. Aliny Kulikówny (Karolina Cutrere) nie wyczuwano się podtekstów psychologicznych i sytuacyjnych, w miarę jednak rozwoju akcji postać Karoliny klarowała się i nabierała potrzebnego wyrazu złożoności, komponując się w interesującą rolę.

Prawdziwą satysfakcją ma się, oglądając kawał dobrej roboty aktorskiej Krzysztofa Chamca. Wprawdzie brakuje w tej postaci jakiejś poetyckiej lotności, ale to, co zademonstrował w niej pan Krzysztof Chamiec, ma swoją wewnętrzną logikę i uzasadnienie artystyczne. Aktor buduje swoją odrębność środkami wyłączenia wewnętrznych takimi jak znużenie, skupienie, gorzyc i spokój, wielki spokój.

Trafnie ujęta postać Szeryfa (Janusz Mazanek), Jaba Torrance (Bohdan Wróblewski), gra reszty zespołu - mimo westernowych kostiumów i drażniących kowbojskich wyłączeń Pee-Vee - dopełnia interesującego spektaklu, którym Teatr Jaracza zaprezentował jedno z najgłośniejszych zjawisk współczesnej dramaturgii amerykańskiej, teatr Williama Tennessee. C autorze tym nie tylko u nas, ale w samej krytyce amerykańskiej, wygłasza się zresztą krąco sprzeczne sady, począwszy od zdania nowojorskiego krytyka teatralnego, pani Mary Mac Carthy, która uważa Williama Tennessee za „trzeciordnego pisarza, a skończywszy na apoteozach i przyrównywaniu go do innej wielkości dramatu amerykańskiego, do O'Neila.

„ORFEUSZ W WĘZOWEJ SKÓRZE”

właska, jest pięknym aktem scenograficznym, rozświetlającym najbardziej mroczny obraz świata.

Sądząc ze skrótów tekstowych, p. Maria Wiercińska, znakomity reżyser scen warszawskich, starała się sztukę w jakiś sposób pogłębić, a w każdym razie odmłodramatyzować; uciec od momentów, w których poeta tej sztuki przechodzi w fałszywą poetyckość, w której sztuka ta ociera się o tzw. „genialną szmirę”. Na zagranie końcowej sceny Lady Torrance w jej pełnym brzmieniu, sceny granicznej z pólóbiedem, trzeba by może innego typu aktorstwa, a może i innej widowni, dlatego też może dobrze się stało, że teatr zrezygnował z pełnego tekstu tej sceny i z podobnych jej momentów i że postać Lady ustawiono na prawidłach działania psychiki „bardziej normalnej”. W ostateczności sztuka reżyserka - nie robię tu żadnych odkryć - polega na kreowaniu postaci w zgodzie z indywidualnością aktora, jakim reżyser dysponuje, niemniej jednak wydaje mi się, że proponowane przez teatr rysy psychopatologii uczuć i działań Lady, bardziej uzasadniają jej postępowanie, a przede wszystkim współczucie i miłość Vala do tej kobiety. Bez tych rysów Lady Torrance wydaje się chwilami chłodną kalkulatorką, dokładnie obmyślającą termin wykonania zemsty na dzień śmierci umierającego męża. I tu stajemy wobec trudnego zagadnienia odpowiedzialności skomplikowanej pracy reżysera: jedno przesunicie w sztuce, w obrazie psychiki postaci sceniczej, pociąga za sobą następstwa w całym złożonym układzie utworu literackiego i w jego tzw. wygłosie. Myślę, że to przemienianie psychiki postaci z „Orfeusza”, pozwalając reżyserowi odejść od ryzykownej sceniczej zbitki śmieszności i tragiczności, zmieniło jednak nieco tonację sztuki, a williamsowskiemu widzeniu świata odebrało krytyczność i drapieżność. Ale cóż - w końcu jednak spektakl teatralny musimy przyjmować jako wypadkową osobowości autora i reżysera, jako odcisnienie się osobowości reżysera na materiale literackim.

W zaproponowanej oprawie scenograficznej atmosfery tych konfliktów nie ma. Zamiast tego zderzenia „ciemności i światła”, brzydoty i piękna, marzenia i jawy otrzymaliśmy standardowy obraz Ameryki z błyszczących, oleodrukowych pocztówek, z pozłocanymi ścianami, meblami, Amerykę kapiącą od złota, brokatów, lam, Amerykę z propagandowego piśma lub krawieckiego żurnalu. W tej oleodrukowej Ameryce p. Stańczak rozegrał kunsztowne swoje malarskie, kolorystyczne założenia; scena mieni się od wszystkich odcieni złota, jest „kolorowa i bogata”, ale nie wiele to wszystko ma wspólnego i z ucieczką reżysera właśnie od takich efektów, i williamsowska konwencja realizmu poetyckiego, i z logiką sytuacji, i z psychologią postaci.

Oczywiście, można sobie pozwolić, że scenograf wydobędzie konflikt sztuki na zasadzie innego zderzenia, własnie zbrodniczości natury ludzkiej i lukrowanej piękności błyszczącego otoczenia, że to

Zbieramy folklor robotniczy

„Redakcja „Literatury Ludowej” przy współudziale Katedry Etnografii i Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi zamierza wydać w 1963 roku specjalny zeszyt poświęcony folklorowi robotniczemu łódzkiego okręgu przemysłowego.

Celem akcji jest zebranie nieznanych dotychczas przejawów kultury robotniczej woj. łódzkiego; chodzi więc o materiały nie drukowane w książkach lub prasie, nie nadawane przez radio i telewizję, znane w środowisku robotniczym w mowie żywej. Za naszym pośrednictwem Redakcja „Literatury Ludowej” zwraca się z prośbą do wszystkich czytelników, do odpowiednich władz terenowych i związków zawodowych, domów kultury i świetlic robotniczych do wzięcia udziału w ankiecie i o pomoc przy jej przeprowadzeniu.

Najcenniejsze materiały folklorystyczne zostaną nagrane na taśmy magnetofonowe, a następnie opublikowane, przy czym autorzy otrzymają odpowiednio honoraria.

Pytania ankiety są następujące:

1. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
2. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
3. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
4. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
5. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
6. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
7. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
8. Jakich znam robotników (robotnice) lubiących śpiewać i opowiadać - podać nazwiska i dokładne adresy.
9. Podać własne imię i nazwisko oraz dokładny adres.
10. Wypełnić dokładnie podaną ankietę i przesłać na adres: Redakcja „Literatury Ludowej”, Warszawa, Nowy Świat 72, pokój 121 w terminie do dnia 1 maja 1963 r.

CO w terenie?

Istniejąca od zeszłego roku poradnia instrukcyjno-metodyczna w Tomaszowie Mazowieckim, od początku boryka się z poważnymi trudnościami. Przeważnie finansowymi, bo budżet wyznaczony dla niej przez Wydział Kultury PMRN, jest więcej niż skromny. Ale przecież poradnia spełnia tu usługi tylko dla placówek zakładowych i związkowych, bo innych w Tomaszowie nie ma. Do tej jednak pory Miejska Komisja Związków Zawodowych nie wykazała żadnej troski

o przyjęcie z pomocą tej potrzebnej placówki.

Podobnych przykładów dwutorowości i „odgradzania się” w podejmowaniu działalności kulturalnej, możemy przytoczyć wiele. Miejmy nadzieję, że duża poprawa w tej niezrozumiałej sytuacji przyniesie długo oczekiwane porozumienie między Wydziałem Kultury PWRN a Wojewódzką Komisją Związków Zawodowych - dotyczące ścisłego współdziałania w zakresie zagadnień kulturalno-oswiatowych...

W ramach hasła o „usuwananiu „błatych plam” na mapie kulturalnej, Wydział Kultury PWRN podjął ceną inicjatywę upowszechniania plastyki w małych osadach i miasteczkach naszego województwa. W

Warcie, Działoszynie, Jeżowie, Uniejowie, Pudłowie, Brzeźniu i wielu innych miejscowościach Biuro Wystaw Artystycznych będzie organizowało ekspozycje współczesnej plastyki i fotografii, połączone z prelekcjami i spotkaniami z autorami wystawianych prac.

Od paru lat Zespół Pieśni i Tańca „Kolejarz” z Łodzi utrzymuje serdeczne kontakty z Amatorskim Zespołem Artystycznym ze Straznicy w CSR. W ubiegłym roku „Kolejarz” bawił w Czechosłowacji na zaproszenie przyjaciół ze Straznicy. Obecnie spodziewają się rezydentów z okazji tradycyjnych „Dni Łowicza”.

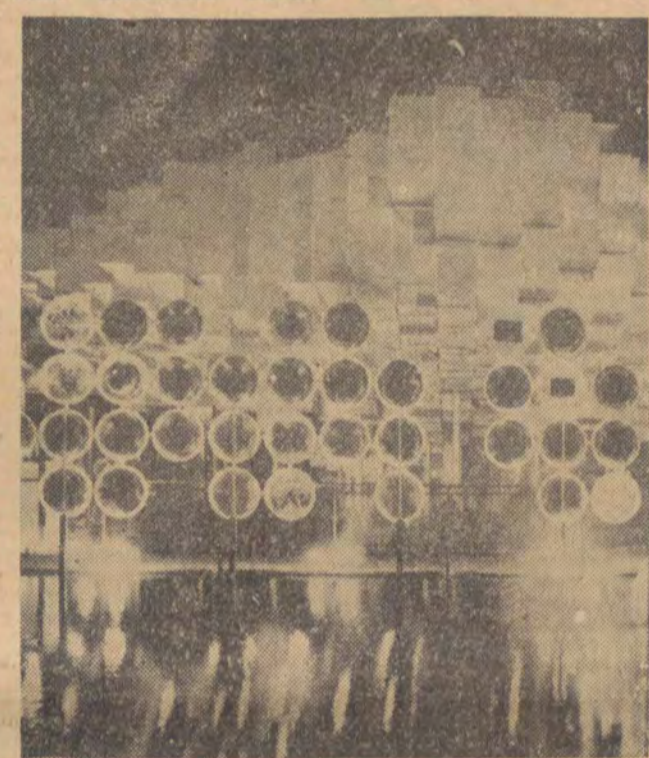
GROBOWIEC czy bank INFORMACJI?

„Jeszcze sto lat piśmiennictwa a duch ludzki smierdzieć pocznie”. Sentencja nie całkiem nowa, ale kto ją wygłosił? Otóż to, proszę sprawdzić: dwadzieścia milionów tomów zalega półki Biblioteki im. Lenina w Moskwie, dwa miliony spoczywa w magazynach Biblioteki Narodowej w Warszawie, 335 tysięcy leży w księgozbiór Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Nie ma takiej myśli ludzkiej, której by — skoro raz została utrwalaona w druku — nie znalazło się w jednym z niezliczonych woluminów jednej z niezliczonych bibliotek świata. Tylko jak wyłowić perłę z powodzi?

Ileż doświadczeń nagromadziło się w ciągu wiekowiek historii, ileż doświadczeń i pomysłów, które mogłyby ułatwić nam byt, gdyby dało się je wydobyć na światło dzienne. Niestety, do tej pory nie mamy skutecznego sposobu przedzierania się poprzez dżunglę zarejestrowanej wiedzy; musimy na nowo odkrywać zagubione lądy, na nowo „wynajdywać koi”. Co gorsza, nieraz rozwiązujemy od początku rozmaite „kwadratury koła”, nie przypuszczając wcale, że błądzimy obok utartych dawno ścieżek. Niewiedza przestała być w naszej epoce przymiotem bogostanu, nie stać nas na marnotrawstwo czasu w badaniach naukowych, choć czasem bywa ono nieuniknione.

Marzeniem każdego badacza jest swobodny dostęp do wszelkich możliwych źródeł informacji rozszaniach po całej kuli ziemskiej. Również bibliotekarzom marzyło się zawsze sporządzenie uniwersalnej kartoteki wydawnictw wszystkich czasów i narodów — jak zresztą wykazały wysiłki Międzynarodowego Insty-

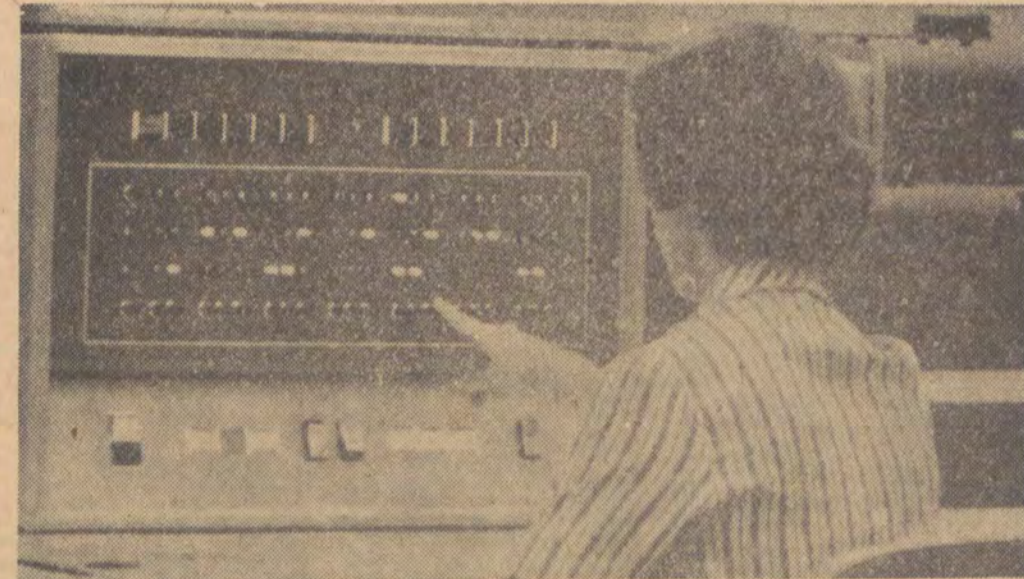
tutu Bibliograficznego w Brukseli rzecz absolutnie niewykonalna. Jednakże aż do połowy XX wieku tradycyjne metody pracy biblioteczarzy wydawały się zadowalające. Katalogi podstawowe i odsyłacze, katalogi systematyczne i przedmiotowe zaspokajały jako tako wymagania czytelnika. Dziś metody owe zewodzą, już choćby dlatego, że trudno nadażyć z rejestrowaniem narastającej ilości winowo produkcyj drukowane go słowa. Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby chodzilo tylko o gromadzenie i przechowywanie całokształtu dorobku



myślowego, do czego ograniczał działalność Biblioteki. Na rodowej statut z 1928 roku. Wszelako biblioteki stały się instytucjami obsługi czynnej, za funkcję zasadniczą uważa ją przekazywanie wiedzy, współpracę i pomoc w wytworzeniu nowych wartości intelektualnych.

Biblioteka współczesna powinna być prawdziwym ośrodkiem informacyjnym, zbiorem a jednocześnie kolekcją wszelkich wiadomości utrwalaonych w najrozmaitszych formach zapisu, maksymalnie wydajnych a zarazem przydatnych do natychmiastowego odcyfrowania. Według nowej koncepcji bibliotekarz musi znać nowoczesną naukę bibliografii oraz jedną z podstawowych dyscyplin akademickich, musi być uczonym i specjalistą umiejącym korzystać z nowoczesnych narzędzi, których dostarcza mu technika dla ułatwienia i zabezpieczenia efektywności pracy. Jak wszędzie bowiem i do tej dziedziny wkroczyła automatyzacja.

Jeszcze niedawno zaledwie kilkadziesiąt lat temu, każde adepta bibliotekarstwa obowiązywała surowo znajomość kaligrafii. Niektóre wyznaczenia początków naszego stulecia, jak system kart perforowanych, mikrografia



Maszyna odpowiada na pytania...

i mikrofilmy, a później taśma magnetofonowa, otworzyły perspektywy wdzięczniejsze. „Flexowriter” — maszyna odnotowująca z perforowaną taśmą papierową pracę z szybkością ponad 600 stron na godzinę. Skorowidze alfabetyczne można obecnie wykonać w ciągu kilku miesięcy, dawniej trzeba było na to całego ludzkiego życia. Jednakże, pomimo wysiłków inżynierów, nawet seria urządzeń mechanicznych nie załatwia i nie może załatwić problemu głównego. Dotychczasowa praktyka mechanizacji nie uwzględnia bowiem sprawy najbardziej istotnej — pracy myślowej bibliotekarza przy studiowaniu kartoteki. Katalogowanie stało się dziś całkowicie nową sztuką, polegającą w pierwszym rzędzie na semantycznym powiązaniu idei, pojęć i słów. Stare zasady klasyfikacji — jak system dziesiętny Melvilla Deweya — zbudowane były na modłę biologicznej systematyki gatunków. Katalogi rzeczowe układano według szczebli hierarchicznych, przy czym terminy określające treść książek miały się równocześnie kojarzyć czytelnikowi z przedmiotem jego poszukiwan. Ale klasyfikacja nauk — a więc także piśmiennictwa — była już dawny zagadnieniem spornym. Tym bardziej pogmatwało się wszystko w czasach ostatnich, gdy — wraz z postępem badań — ujawniły się nowe pojęcia, narodziły nowe nauki i przemieszały zachowane.

Upojeni obfitością nowości technicznych wyobrażamy sobie biblioteki przyszłości jako fantasmagorie zapalających się światła, pedzających tasm magnetofonowych, postukujących dalekopisów. Niewątpliwie szybki rozwój faksymilowego odtwarzania tekstów, mechanicznego odczytywania i opracowywania danych jak również rozpowszechnienie międzykontynentalnych środków łączności, wpłynę na organizację bibliotek. Można oczekiwać, że we wnętrzach gmachów zobaczymy szereg elektronowych i innych urządzeń, które dzisiaj wydawałyby się tam zdumiewające i zbyteczne.

Zmieni się również wygląd zewnętrzny budowli. Architektura monumentalna ustąpi miejsca funkcjonalnej. W prze-widywanym dalszym i szybkim udoskonaleniu przystosuje się do możliwości łatwego i ekonomicznego przekształcania wnętrza. Nie będziemy zamykać przyszłości w zastęgle formy dnia dzisiejszego. W świecie współczesnym jedyna rzecz stała to zmienność.

Kiedy przechowywanie uznawane było za główne zadanie

biotek, odpowiednia była architektura skarbcza lub mauzoleum. Jednakże w XX wieku zrodziła się nowa koncepcja, nowa i bardziej dynamiczna funkcja. Biblioteka nie ma być grobowcem i niepotrzebne są pomnikowe gmachy. Dla przyszłego „banku” informacji, architektura najbardziej stosowna będzie puste pudło z minimálną ilością ścian dzielących, raczej kompleks elementów powiązanych funkcjonalnie dla najlepszego wykorzystania wartości duchowej. I nie wygład elewacji będzie charakterystyczne przyśle biblioteki, lecz działalność intelektualna, we wnętrzu. Bardzo zresztą podobna do tej, która cechowała tego rodzaju instytucje we wszystkich epokach, poczynając od czasów ptolemeuszowskiej biblioteki w Aleksandrii.

Można zresztą przypuszczać, że architekt nieprędko zrezygnują z form zapewniających wygodne i racjonalne roztawienie regałów. Chyba bowiem książka nie zesteruje się szybko. Być może bardziej niż dotąd upowszechni się technika zmniejszania formatów ksiąg, co ułatwi magazynowanie. Ale książka okazała się tak poręczna i przystosowana do swoich celów, że człowiek nie umiał udoskonalić jej naprawdę od czasu, gdy rękopis na pergaminie zamienił swoje papierowe. Utrzymało swoje pewnie nadal, nie pozwólmy mu zde-

Wystawy w Seattle. W przezroczystych kulach umieszczone są mak'ety ilustrujące etapy historii przekazywania informacji od malarstwa jaskiniowego do wynalazku, pisma, papieru, druku, teleskopu i nowoczesnych środków nauczania.

Kiedy przechowywanie uznawane było za główne zadanie

biotek, odpowiednia była architektura skarbcza lub mauzoleum. Jednakże w XX wieku zrodziła się nowa koncepcja, nowa i bardziej dynamiczna funkcja. Biblioteka nie ma być grobowcem i niepotrzebne są pomnikowe gmachy. Dla przyszłego „banku” informacji, architektura najbardziej stosowna będzie puste pudło z minimálną ilością ścian dzielących, raczej kompleks elementów powiązanych funkcjonalnie dla najlepszego wykorzystania wartości duchowej. I nie wygład elewacji będzie charakterystyczne przyśle biblioteki, lecz działalność intelektualna, we wnętrzu. Bardzo zresztą podobna do tej, która cechowała tego rodzaju instytucje we wszystkich epokach, poczynając od czasów ptolemeuszowskiej biblioteki w Aleksandrii.

Można zresztą przypuszczać, że architekt nieprędko zrezygnują z form zapewniających wygodne i racjonalne roztawienie regałów. Chyba bowiem książka nie zesteruje się szybko. Być może bardziej niż dotąd upowszechni się technika zmniejszania formatów ksiąg, co ułatwi magazynowanie. Ale książka okazała się tak poręczna i przystosowana do swoich celów, że człowiek nie umiał udoskonalić jej naprawdę od czasu, gdy rękopis na pergaminie zamienił swoje papierowe. Utrzymało swoje pewnie nadal, nie pozwólmy mu zde-

Kiedy przechowywanie uznawane było za główne zadanie

Dalszy ciąg na str. 10

WIESŁAW JAZDZYŃSKI NIE MA POWROTU

Na śniadanie podała Michasia resztki królika. Natura obdarzyła Wilczków po tężnym apetytem. Jedli szybko, w milczeniu, pod stół spadały kości nieszczęsnego królika. Chwytał je w locie Barnaba, pozwalając laskawie uszczknąć coś niecoś Fortunie. Jedzą jak na średniowiecznych dworach — Justynowi przypomniał się jakiś angielski film. Król i dworzanie rozrywali rekami mięso, kości rzucali za siebie. Pił niechętnie kawę osłodzoną sacharyną, gryzł kawałek chleba pokryty cienką warstwą sztucznego miodu i liczył szkiełka błyszczące w świeczniku.

— Chciałbym z panią pomówić — zwrócił się do Madam po śniadaniu.

— Może u mnie? Mam jeszcze trochę prawdziwej kawy z dawnych, dobrych czasów.

Pokój Madam przylegał do salonu. Justyn usiadł przy niskim stoliku, założył elegancko nogę na nogę, pił dobrą kawę i zadawał pytania. Madam odpowiadała swobodnie.

— Pan na Zalesiu i okolicy poległ na polu chwały, wojował z kłusownikami. Pani hrabina rezyduje w mieście, ale ona bardzo szanuje tradycję i kocha to

gniazdo rodzinne, tylko, widzi pan...nie może żyć bez wateklozetu. Pieniądze przy syla regularnie. Chłopcami opiekuje się teoretycznie hrabia Izidor Wilczek z Olszyny, głowa klanu, ale w gruncie rzeczy, pan rozumie, odległość dość duża, kilkanaście kilometrów... my tu nie mamy własnych koni, więc widzimy się rzadko...

— Pani im matkuje, prawda?

— Robię co można, ale on nie usposabiają mnie macierzyńsko, są jacyś dzicy, wrońnicy w te lasy, paniczek wcale nie dworscy, myślę nawet, że oni chłopięją. Po całych dniach siedzą na wsi, mają tam kolegów, polują z psami na zające, łowią cichcem ryby w stawach hrabiego Izidora, w ten sposób wzbogacamy naszą sypialnię, kradną drzewo z lasu, a ja ich uczę francuskiego. Dobrze że mamy już pana, może jeszcze kawy? Plan pracy, szcze góły odnoszące się do chłopów omówimy jutro, dobrze?

Justyn milczał zdumiony. Lubi szlachcie starej daty wskazać ład swój i dostatek. Dobre sobie. Co znaczy ta imitacja dworu, w co oni się tu bawią?

— A kto rządzi gospodarstwem?

— Zalesie jest na ligen-szafcie, jeśli dobrze powtarzam to piękne słowo, nie mamy tu nic do gadania. Mój ojciec nazwałby to typową ekspulsją. Zalesiem rządzi niemiecki chłop z Poznańskiego, mieszka w oficy. Dostarcza nam mleka, maki, kaszy, jaj, a odkał słycać o chłopach z lasu widzimy nawet czasem słoninę i masło. Jak pan widzi antypastów nie jadamy.

Używa wewnętrznej mowy tego dziwnego świata — pomyślał Justyn — mało co z tego rozumiem, antypasty ekspulsje, a wikt kiepski, co gorsza przez taką damę trudno będzie porozumieć się z kimś z podziemia. Może jechać dalej? W plecaku chował list do leśniczego z Sopocic. Niedaleko.

— Ładnie tu u pani — zmienił temat.

— Gdzie tam ładnie. W tym dworze nie brak fotelików, serwantek, szkiełek, cacuszek, brak szafy, proszę pana. Zabrali do biura ligen-szaftu wszystkie szafy. Miałam, wie pan, u siebie cudowną almarję, enkolpion, prawdziwa perła, dziadek wykopał ją pod starym kościołem, ale to już wspomnienie.

Justyn wstał.

— Dziękuję pani, przejdę się trochę.

Dwór stał na wzgórzu. Od tyłu ciągnął się ogród warzywny, smutny i opuszczony. Porzeczki, agrest, obróbnęte trawą, mieszały się z koprem, majeranem i szalwią, zdziczałe lilie tonęły w morzu pokrzywy. Jeszcze tylko włoszczyzna zachowała jaką taką odrębność. Ktoś tu doglądał kapusty, cebuli, marchwi i pomidorów, reszta traciła kolor, stawała się jednolitą, bezbarwną zielenią. Szerokie, frontowe schody prowadziły do ogrodu kwiatowego. Tu i ówdzie z gęstwy pospolitej trawy wystrzelała róża, przebijał się z trudem do słońca samotny mak, błysnął nieśmiertelnik, gdzieś zapachniała niewidoczna rzeźda, ogród tracił jednak resztki barw, jeszcze rok, może dwa i zamieni się w dziką zieloną pustynię.

Minał nieczynną fontannę i usiadł w altance. Wisiał tu zarzewiałe kłatki po nieznanych ptakach. Zapalił papierosa i przymknął oczy.

— Pan profesor nie wyparty?

Stal przed nim Wilczkowie, po bokach przysiadły dwa psy. Fortuna i jeszcze jeden, szpic biały jak śnieg. Barnaba chrapał pod ławką.

— To Mordalka, panie profesorze, ogromnie wesoly pies!

— Nic mnie to nie obchodzi — mruknął Justyn — wariata chcieliście ze mnie zrobić, co?

— Ależ panie profesorze...

— Może zechcecie laskawie odpowiadać tylko na pytanie, dobrze? Dlaczego po wiedziliście, że we dworze nie ma żadnej kobiety. A Madam to co, duch?

— Prawie, a poza tym pan profesor pytał o starszą panią, Madam jest młoda.

— Jak to, prawie duch? — zaciekawil się Justyn.

— Ona jest trochę nie z tej ziemi, ciało astrofizyczne, żyje przeważnie z duchami. Właściwie to tylko z jednym, z Ernestem, panie profesorze.

— A któż to taki?

— Ernest nie żyje, panie profesorze, zginął w bitwie pod Kutnem, ale my jej tego nie mówimy, bo jeszcze umrze z żalosci i dopiero będzie kłopot.

Justyn uśmiechnął się.

— Ernest jest duchem, jeśli dobrze rozumiem, a w jakim stopniu pokrewienstwa z Madam?

— Maż, a Madam to znówuż nasza krewna, czyli duch Ernesta jest z nami

co najmniej spowinowacony. Madam stara się wywołać jego ducha. Jeśli go zobaczy, to umrze, no bo jak duch się pokazuje, to znaczy, że człowiek jest umrzkiem, pokazują się duchy, które nie mają własnego ciała.

Justyn miał już dość Zalesia. Przypomniał mu się nagle Kostrowicki, kolega z trzeciej ławki pod piecem. Degenerat! — wołano za nim, Kostrowicki, błądy i chudy nikomu nie imponował pięcioma palcami w koronie, znakomicie natomiast udawał trupa. Zjadał paczkę waty po czym dostawał bardzo szybko gorączki. Przed omdleniem bladł „na kredę”, ruszał szybko uszami, oczy obracał w slup i wystraszony profesor, rad nie rad, przerywał klasówkę, lub przestawał odpytywać. W Zalesiu też się zajmują trupami? Patrzył na obu braci bez zainteresowania, wreszcie zakomunikował.

— Jestem żołnierzem, kochani, to już wiecie. Żolnierz uznaje tylko prawdziwe życie, albo prawdziwą śmierć. A u was jest ni pies ni wydra. Wszystko ma cie i niczego nie macie. Wateklozet, windy, światło, ciepło, ogród niby są, ale w gruncie rzeczy wcale ich nie ma. I psów, jak widzę, coraz więcej. Nie wytrzymaam tylu psów żyjące

Dalszy ciąg na str. 10

odgłosy str. 9

GROBOWIEC

czy bank

INFORMACJI?

Dokończenie ze str. 9

tronizować nowym wynalazkom. Tyle, że usłapi im nieco swoich prerogatyw.

Równocześnie bowiem i równoległe wstąpiły w szranki urządzenia elektroniczne i automaty, które już dzisiaj zrewolucjonizowały metodę zbierania i przekazywania informacji. Pewien pogląd, jak będzie funkcjonować biblioteka przyszłości, mógł dać pawilon „Biblioteka XXI wieku” na Wystawie Światowej w Seattle nad brzegami zatoki Puget Sound w stanie Waszyngton. Zadeklarowano tam maszynę cyfrową, która zaprogramowana przez wykwalifikowanych technicznie bibliotekarzy, odpowiadała na zadane tematy, uwzględniając przy tym wykształcenie, wiek oraz znajomość języków pytającego. Maszyna podawała krótkie noty informacyjne z różnych dziedzin wiedzy oraz szczegółowe dane bibliograficzne w najszerszym zakresie — od sztuki po czynając a na badaniach przestrzeni kosmicznej kończąc. Cyfrowa także wybrała teksty i „złote myśli” klasyków literatury światowej.

Za wcześnie jeszcze na prognozy. Przyszłość bibliotek to cały zespół problemów, nie tylko technicznych, także psychologicznych i społecznych. Można żywić nadzieję, że najnowsze aparaty elektroniczne, naśladujące procesy, które zachodzą w mózgu człowieka, dopomogą nam w zrozumieniu zasad i metod poszukiwania, otrzymywania i wykorzystywania wiadomości. Można mieć pewność, że maszyny usprawnią wielokrotnie pracę bibliotek, a nawet dopomogą w zrealizowaniu owej wymarzonej idei uniwersalnej kartoteki. Ale najbardziej wydajny analizator biblioteczny pozostanie zawsze instrumentem, nie zastąpi bibliotekarza, jak w innej dziedzinie nie zastąpi matematyka. Automatyzacja to tylko zewnętrzny przejaw rewolucji intelektualnej, która ogarnia biblioteki.

Opracował: K. W.

Widok płwociny na podłodze, na posadzce, na chodniku przynębia, budzi odręże.

Nieczuwalne słowo, nieprzyzwoity wyraz lub spiętrzenie soczystych słów, to niematerialna płwocina. Do słuchania nieprzyzwoitych słów trudno przyzwyczać się. Trudniej zapewne, niż do ich niepochamowanego używania.

Nieprzyzwoite słowa — ta zawieszona, pleśń i rdza ludzkiej mowy — codziennie kalcją nasz słuch, atakują naszą wrażliwość niemal wszędzie: w tramwajach i w pocągach, w sklepach i poczekalniach, w fabrykach i na ulicy, na niektórych młodzieżowych (właśnie, właśnie!) potańcówkach.

Wieczory naszych miast i miasteczek bardziej niż żarówkami i świetlówkami poprzetykane są najohydniejszym słownictwem. Zmusza się nasze uszy do mimowolnego wyciśnięcia licho wie czego na czasach i na biwakach. Znajdujemy dla takich słów łagodne określenie — mówimy o „lacinie”, co już świadczy o przesadnej tolerancji. Podobnie jak o przesadnej tolerancji w innej dziedzinie świadczy miłutki kalamburek: „krapoludki”...

Wydaje się — bo nie ma na to, i być nie może, danych statystycznych — że krapoludki, upodobanie w nieprzyzwoitych wyrazach, zatacza coraz szersze kręgi. Oczywiście, nie rozpatrujemy wypadków, w których krapoludki towarzyszy chorobom umysłowym. Krapoludki już rzadko kiedy spotyka się z protestem, choć budzi uczucie przynębnienia. Nie zauważają jej egzekutorzy prawa, jako jednego z przejawów chuligaństwa. Powiedziałbym nawet, że nieraz snobujemy się na „mocne wyrazy”.

Krapoludki uprawiano zawsze, ale w miejscach publicznych, poza kręgiem praktykujących, hamowano się, kępowano się, zniżano swoje parszywe wypowiedzi do szepotu.

A dziś? Chciałoby się stwierdzić, że jest wprost przeciwnie!

Nie wierze, aby ludzie wyeliminowali ze swojego słownictwa te wyrazy i wyrażenia, aby z nich kiedykolwiek zupełnie zrezygnowali. Są okoliczności, w których nawet najdelikatniejsi potrafią tak zakląć, że aż „uszy wędzną”.

Kiedyś znakomity satyryk radziecki Zoszczenko napisał

humoreskę, poświęconą tej właśnie sprawie. W fabryce postanowiono nie używać przekleństw, na wszelki wypadek obłożono się dobrowolną grzywną. Grzywny rosły (na jakiś, rzecz jasna, szlachetny cel), ale praca za to „nie szła”. Odwołano wspólną uchwałę, żeby znowu „szła praca”. A więc, powiedzmy to sobie, trzeba rozumieć nadużycie słów w pewnych sytuacjach, jak na przykład przy jakimś szczególnie denerwującym wysiłku, w momencie jakiegoś psychicznego zaskoczenia lub napięcia. (Znajomi, których o to pytałem, utrzymują, że

JAN HUSZCZA

Cierpienia niewinnych przechodniów i niewinnych bywalców

brzydkie wyrazy w takich sytuacjach zastępują im zapalenie papierosa).

Albo mówimy o rozpasaniu krapoludki, której nie towarzyszy żadne usprawiedliwienie. O rozpasaniu krapoludki dla samej krapoludki.

Pewna Polka, która przyjechała do latych w odwiedziny do krewnych, której nasz dzień zaimponował pod jednym względem, skarżyła się na odjazd: „Proszę pana, przecież w tyłu miejscach człowiek czuje się obrażony, ba, sponiewierany! Czemu z tym nie walczycie?” Czemu z tym nie walczycie? To jedno słusne pytanie pociąga za sobą drugie, znacznie trudniejsze: jak z tym walczycie? Jak skutecznie działać, aby uzyskać ograniczenie krapoludki, odkażenie naszej mowy powszechnej, bo przecież nie chodzi o lekcje wrażliwości przede wszystkim kobiet?! Słownictwo, zaśob językowy świadczy bowiem nie tylko o kulturze, ale i o postawach życiowych.

Równo trzydziści lat temu skarżył się Julian Tuwim w dowcipnym felietonie o kinochamacach:

„Na ekran pada przekład piosenki:
Gdy dziewczę cie pokocha,
Całuska chętnie da...”

Potwór rzuca dowcip: — Albo da, albo nie da! Co?

Drugi się z nim zgadza: — Możliwe, że nie da, a możliwe, że da. I śmieją się. Dostę długo się śmieją, bełkocąc, sepleniąc, śliniac, charcząc i kwicząc wszystko, co widzą, czytają, myślą i czują.

A kiedy im zwrócić uwagę, żeby byli cicho, psyknąć lub skarcić surowo wzrokiem, obrażają się śmiertelnie i sypia zjadliwe uwagi: — Jak pan taki nerwowy, to niech pan w domu siedzi!”

Z niektórymi odmianami

niach i zwyczajach, różnych upodobaniach. Takie same narzekania można usłyszeć z ust odbiorców imprez o szerokim zasięgu, z ust melomanów itd. Do niektórych knajp wieczorami lepiej po prostu nie wchodzić. Można też łatwo zetknąć się z narzekaniami pacjentów, czekających w ubezpieczalniach przychodniach na swoją kolejkę do lekarza: tam niektórzy z nich nie okazują szacunku (koniecznego przecież) dla lekarskiego gabinetu, ale dośroć bezceremonialnie odtwierają do niego drzwi, chcą wejść do środka bez żadnych ceregieli,

to właśnie sprawa kultury życia codziennego, umiejętność prawidłowego w formach używania tych dóbr bez wchodzenia w kolizję z ogólnie przyjętymi zasadami i umownymi normami. Łatwo zauważyć ludzi złej woli — zwłaszcza wśród młodych — którzy korzystają z nich rzeczywiście szokująco i wyzywająco. Wielu jednak naszych konsumentów, nowych konsumentów nie zawsze umie odpowiednio znaleźć się choćby tego chciało, dlatego nie bierzemy tu pod uwagę zwyczajnego chuligaństwa z premedytacją.

choć właśnie lekarz kogoś bada.

Narzekania te najczęściej nie są pozbawione racji, często zaś od racji aż tętnią. Dla ich przyczyn trzeba znaleźć możliwość do przyjęcia komentarz. Wydaje się, że wiele wyjątki komentarz typu socjologicznego, nawet gdy przesłanek do niego nie znajdzie się w jakichś badaniach opartych o konkretne dane statystyczne, ale tylko w doświadczeniach własnych i swoich znajomych.

Oto poszerzył się zdumiewająco krąg odbiorców kultury i wszelkich usług, zostali do niego — na różne sposoby — dopuszczeni wszyscy, z czego tylko można się cieszyć. Niejednemu dzisiejszemu bywalcowi teatru, premierowego kina, filharmonii czy kawiarni pierwszej kategorii w warunkach przedwojennych nawet nie przychodziło do głowy, żeby tam zajrzeć. A jeśli już przypadkiem zajrzały, to czuły się jak trusia, albo skarcione dziecko, a więc niejako unieważniały swoją obecność. Zniknęło społeczne onieśmienie, nie ma miejsca na psychiczną relację „ja” i „ja-cyś tam, ach, „wielmożni państwo”...

Albo pozostaje inna sprawa. Korzystanie z kina czy teatru, z kawiarni czy dobrze urządzonego mieszkania —

Otóż jeszcze częściej i wnikliwiej należało zastanawiać się nad dydaktyką sprzyjającą właściwemu sposobowi bycia w różnych okolicznościach. Trzeba więc interweniować, trzeba przypominąć, trzeba wskazywać, trzeba nieraz niejako instruować.

Wielką rolę, chyba szczególnie wielką, mogłaby odegrać telewizja. Przecież niedawno czytaliśmy, że zarejestrowano już ponad milion odbiorników.

Słusznie utyskujący bywalcy i przechodnie mają niewątpliwą szansę na to, że ich cierpienia będą zmniejszały się z roku na rok. Jednak pod warunkiem, iż te cierpienia będą się ujawniały i demonstrowały, iż będzie cierpliwie szukać się sposobów do ich ograniczenia. Sprawa bowiem, dodajmy na koniec, należy do wyjątkowo poważnych, określających kulturę naszego życia codziennego, której zagrożeniu zniechęca i schamienie. Upraszczać rzecz, powiedzieć więcej: jesteśmy w okresie tworzenia się modelu kultury życia codziennego. Negatywnym zjawiskiem należy na każdym kroku i przy każdej stosownej okazji przeciwstawiać zjawiska pozytywne. Właśnie od tego codziennego ścierania się tych zjawisk zależy model naszej kultury życia codziennego!

Dokończenie ze str. 9

jak u hycia. Wyjeżdżam stąd!

Odmaszerował zachwaszczoną aleją w stronę dworu. Na ganku stała Madam i uśmiechała się przyjaźnie.

— Ladnie tu u nas, prawda? — Owszem — mruknął i odwrócił się.

Wilczkowie stali ze spuszczonej głowami. Nie mogąc, że no, nie mogąc ich tak zostawić. Przystanął bezradnie u stóp ganku.

— W tym miejscu straszny taka jedna nasza prababca.

Przystanął na małej polance. Justyna zastanowił jej osobliwy kształt. Idealne, puste, piaszczyste koło, otoczone zielenią.

— Moi drodzy, macie wyraźnego hysia na punkcie przodków i duchów. Szpital wariatów, albo powróć do normalnego życia, innej drogi dla was nie ma. No, nie martwiecie się, już ja z was zrobię przyzwoitych ludzi, zapomnicie o prababce.

Objął wzrokiem polankę. Barnaba ścigał Fortunę, a Fortuna Merdałkę. Niebo pojaśniało, jak zwykle przed nadejściem letniej nocy, las ciemniał powoli.

— Na tej polanie nie rośnie od przeszło stu lat — powiedział Maurycy.

— Rzeczywiście — zdziwił się Justyn. — A dlaczego nie rośnie?

— Bo tu się zapadła pod ziemię nasza prababca, razem z czarnymi kucykami i parasolką.

Justyna ogarnęła złość.

— Jesteście obłąkane Wilczki! Ani słowa więcej o praszczurach, Ernestach, zaświatach i innych duperelach, zrozumiano?

Wracali w milczeniu. Justyn odskoczył się grupie przechodzących chłopów i przystanął nagle.

— Co jest, jak boga jedynego kocham! Dlaczego oni są do was tacy podobni? — Możemy powiedzieć, ale to będzie o naszym pradziadku.

— Ladna rodzinka, nie ma co! A gdzie pochowano tego rozpustnika?

— W naszym lesie, panie profesorze, bo ksiądz nie chciał wpuścić pradziadka na cmentarz. Możemy się kiedy przejść do grobowca, bardzo ładna droga.

Zaraz po kolacji Justyn zamknął się w swoim nowym pokoju. Przeprowadził się jeszcze rano. Kazał sobie przynieść puszysty dywan, stylową sekretkę, skórę z dzika, którą rozłożył przed kominkiem, na ścianie zawiesił reprodukcję Juliusza Kossaka. Za oknami dojrzała parna noc. Gęste powietrze, przesycone słodkim zapachem ogrodu, utrudniało oddychanie. Justyn rozpałił ogień na kominku, to robi atmosferę. Zapadł w głęboki fotel i dokonywał obrachunku.

Polecenie władz wykonane? Wykonane, nauka zorganizowana, prowadził dwie klasy, trzecią i czwartą, w każdej klasie po jednym uczniu. Tylko z laciną kłopot. Jeszcze kilka lekcji i będzie kłapa. Kto na tym

pastkowiowi może przetłumaczyć Katylinę i kawałki Tacyta na prywatny użytek pana profesora? Zalesiański wikt? Króliki, inne okazy tutejszej fauny nie były reprezentowane na tutejszym stole. Jutro podobno mają być kradzione ryby. Mieszkanie wygodne, uczniowie zdolni i posłuszni. Perspektywy? Właśnie, pomyślemy o perspektywach. Władze, wszyscy jedno jakie, oficjalne, czy podziemne, odznaczają się z reguły krótką pamięcią. Zapakowały go na pustelnię i zapomniały. Wojna — rzecz absorbująca, usprawiedliwiająca wobec tego władze, ale też wynika z tego, że trzeba samemu o sobie myśleć, inaczej człowiek zardzewieje. W okolicy tętnią życiem pierwsze w kraju domy. Hrabia Izidor Wilczek w Olszynie, hrabina Wyszohorska w Radłowej. Gdyby tak sobie z hrabią pogadać, albo z księciem Sanguszką? To przecież całkiem możliwe, że ksiądz trafi się w olszyńskim dworze, oni się odwdzięczą, konwersują, ciekawe, po jakiemu mówią. Jeżeli po francusku będzie bieda...

Madam przerwała mu w punkcie dotyczącym planów na przyszłość.

— To duże ryzyko mieszkać w tym pokoju. Są duchy, których nie można opłacać, może zresztą nie będzie tak źle?

— Może — zgodził się Justyn.

Madam postawiła trójramienny świecznik na stoliku i otworzyła starą książkę z kabalistycznymi rysunkami, zamknęła następnie okno, zapaliła świecę, zgasła lampę karbidową. Ile ona może mieć lat? Justyn śledził dam,

uważnie każdy jej ruch. Najwyżej dwadzieścia pięć.

— Niech pan siada, czy odkrył już kto w panu zdolności mediumiczne?

— Raczej strategiczne, Madam.

— Proszę nie żartować, inaczej będą nieć z seansu.

— Już jestem grzeczny jak aniołek.

— Niech się pan skupi, ry. W taki wieczór wiesz się zbrodniarzem na samotnym drzewie, żywa dusza siedzi w chałupie za piecem. Dzień już wygasł, kiedy przybyli na miejsce wieckiego spotkania przadziadka. Szkielet okazałego grobowca wykuto z czerwonego granitu, środek wypełniały czarne marmurowe płyty.

— Ladnie ma tu, no, chłopcy, trzeba polać zamek oliwą, pewnie zardzewiał!

Klucz jednak obrócił się gładko w zamku, żelazne drzwi otwarły bez trudu. Las szumiał, gęste chmury opadły na wierzchołki drzew, pomiędzy sosnami latały mgły. Justyn zapalił latarkę i pierwszy wszedł do wnętrza. Grobowiec podzielony był na cztery głębokie nisze, budowniczo wie prze-widywali widocznie, że nie wszyscy Wilczkowie będą chowani na cmentarzu. Z lewej strony, na pięterku spoczywały szczątki pradziadka. Justyn odczytał złożony napis: „Tu leży hrabia Hipolit Wilczek, cnót ludzkich uosobienie, wierny cnocie do śmierci, prosz o westchnienie”.

— Westchnijmy sobie — zaśmiał się Bogusław.

— Uspokój się! — zgromił go Justyn. — Ladnie szanujecie się w rodzinie. Kto leży obok Hipolita?

— Prababka Narcyza, wzór polskiej matrony, na końcu też prosz o westchnienie.

Nisze parterowe były pu-ste.

— Do roboty — rozkazał Justyn.

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

— Proszę posłuchać: Istotą natury jest powszechny kontakt, wszechstyczność, powiązanie, wieczne przewodzenie prądów i impulsów. Wiatr, glos, ciepło, zimno, nie znają stałego miejsca zamieszkania, są nieustannie przewodzone. Ludzie przewodzą na tej samej zasadzie co metale. Zgadza się pan z tym?

— Jak najbardziej. Madam,

— Panie profesorze, gotowiel

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

ry. W taki wieczór wiesz się zbrodniarzem na samotnym drzewie, żywa dusza siedzi w chałupie za piecem. Dzień już wygasł, kiedy przybyli na miejsce wieckiego spotkania przadziadka. Szkielet okazałego grobowca wykuto z czerwonego granitu, środek wypełniały czarne marmurowe płyty.

— Ladnie ma tu, no, chłopcy, trzeba polać zamek oliwą, pewnie zardzewiał!

Klucz jednak obrócił się gładko w zamku, żelazne drzwi otwarły bez trudu. Las szumiał, gęste chmury opadły na wierzchołki drzew, pomiędzy sosnami latały mgły. Justyn zapalił latarkę i pierwszy wszedł do wnętrza. Grobowiec podzielony był na cztery głębokie nisze, budowniczo wie prze-widywali widocznie, że nie wszyscy Wilczkowie będą chowani na cmentarzu. Z lewej strony, na pięterku spoczywały szczątki pradziadka. Justyn odczytał złożony napis: „Tu leży hrabia Hipolit Wilczek, cnót ludzkich uosobienie, wierny cnocie do śmierci, prosz o westchnienie”.

— Westchnijmy sobie — zaśmiał się Bogusław.

— Uspokój się! — zgromił go Justyn. — Ladnie szanujecie się w rodzinie. Kto leży obok Hipolita?

— Prababka Narcyza, wzór polskiej matrony, na końcu też prosz o westchnienie.

Nisze parterowe były pu-ste.

— Do roboty — rozkazał Justyn.

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

— Proszę posłuchać: Istotą natury jest powszechny kontakt, wszechstyczność, powiązanie, wieczne przewodzenie prądów i impulsów. Wiatr, glos, ciepło, zimno, nie znają stałego miejsca zamieszkania, są nieustannie przewodzone. Ludzie przewodzą na tej samej zasadzie co metale. Zgadza się pan z tym?

— Jak najbardziej. Ma-

— Panie profesorze, gotowiel

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

ry. W taki wieczór wiesz się zbrodniarzem na samotnym drzewie, żywa dusza siedzi w chałupie za piecem. Dzień już wygasł, kiedy przybyli na miejsce wieckiego spotkania przadziadka. Szkielet okazałego grobowca wykuto z czerwonego granitu, środek wypełniały czarne marmurowe płyty.

— Ladnie ma tu, no, chłopcy, trzeba polać zamek oliwą, pewnie zardzewiał!

Klucz jednak obrócił się gładko w zamku, żelazne drzwi otwarły bez trudu. Las szumiał, gęste chmury opadły na wierzchołki drzew, pomiędzy sosnami latały mgły. Justyn zapalił latarkę i pierwszy wszedł do wnętrza. Grobowiec podzielony był na cztery głębokie nisze, budowniczo wie prze-widywali widocznie, że nie wszyscy Wilczkowie będą chowani na cmentarzu. Z lewej strony, na pięterku spoczywały szczątki pradziadka. Justyn odczytał złożony napis: „Tu leży hrabia Hipolit Wilczek, cnót ludzkich uosobienie, wierny cnocie do śmierci, prosz o westchnienie”.

— Westchnijmy sobie — zaśmiał się Bogusław.

— Uspokój się! — zgromił go Justyn. — Ladnie szanujecie się w rodzinie. Kto leży obok Hipolita?

— Prababka Narcyza, wzór polskiej matrony, na końcu też prosz o westchnienie.

Nisze parterowe były pu-ste.

— Do roboty — rozkazał Justyn.

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

— Proszę posłuchać: Istotą natury jest powszechny kontakt, wszechstyczność, powiązanie, wieczne przewodzenie prądów i impulsów. Wiatr, glos, ciepło, zimno, nie znają stałego miejsca zamieszkania, są nieustannie przewodzone. Ludzie przewodzą na tej samej zasadzie co metale. Zgadza się pan z tym?

— Jak najbardziej. Ma-

— Panie profesorze, gotowiel

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

— Proszę posłuchać: Istotą natury jest powszechny kontakt, wszechstyczność, powiązanie, wieczne przewodzenie prądów i impulsów. Wiatr, glos, ciepło, zimno, nie znają stałego miejsca zamieszkania, są nieustannie przewodzone. Ludzie przewodzą na tej samej zasadzie co metale. Zgadza się pan z tym?

— Jak najbardziej. Ma-

— Panie profesorze, gotowiel

Wyszedł przed pałac. Siępał dokuczliwy, gęsty deszcz. Od lasów ciągnął nieprzyjemny chłód, nad Czarną wisiały ciężkie chmu-

— Proszę posłuchać: Istotą natury jest powszechny kontakt, wszechstyczność, powiązanie, wieczne przewodzenie prądów i impulsów. Wiatr, glos, ciepło, zimno, nie znają stałego miejsca zamieszkania, są nieustannie przewodzone. Ludzie przewodzą na tej samej zasadzie co metale. Zgadza się pan z tym?

— Jak najbardziej. Ma-

Jak się odbiera program TV?

I. TELEWIZJA A INNE ŚRODKI KULTURY MASOWEJ

Miasta są środowiskami lokalnymi, gdzie żywiej dokonuje się rozpowszechnianie nowych środków kultury masowej. Za ich pośrednictwem rozprzestrzeniają się one na wieś. Fakt owej nierównomierności wyjaśnia istniejąca u nas do dziś różnica poziomu kultury między miastem a wsią.

Ale i w miastach nie wszyscy mieszkańcy w jednakowym stopniu korzystają z dostępnych im środków kultury masowej. Widać wyraźnie pod tym względem następującą tendencję: zasięg korzystania zwiększa się w miarę przechodzenia od niższych do wyższych kategorii wykształcenia i od niższych do wyższych kategorii społeczno-zawodowych, obniża się zaś w miarę przechodzenia od młodszych do starszych kategorii wieku, nawet przy analogicznym poziomie wykształcenia i przynależności społeczno-zawodowej. Wypadki większej aktywności kulturalnej w starszym wieku

niż w młodszym są nieliczne w skali masowej, o jaką nam chodzi.

W miarę rozpowszechniania się nowego środka kultury masowej zwiększa się zasięg korzystania z wszystkich istniejących dotychczas środków kultury masowej i instytucji kulturalnych. Zjawisko to widać chociażby przy porównaniu wyników badań przeprowadzonych w Łodzi i Katowicach w 1961 r. nad zasięgiem korzystania z różnych środków kultury masowej. W okresie prowadzenia badań w Łodzi zarejestrowanych było około 35 tys. a w Katowicach około 20 tys. widzów, czyli proporcjonalnie do liczby mieszkańców więcej widzów zarejestrowanych było w Katowicach. Jak w tej sytuacji przedstawiał się zasięg korzystania przez mieszkańców owych dwóch miast z różnych środków kultury masowej i instytucji kulturalnych?

Zasięg korzystania z środków kultury masowej i instytucji kulturalnych w Łodzi i Katowicach:

Środki i instytucje	Łódź	Katowice
Badani ogółem	100,0%	100,0%
w tym mówili, że korzystają z następujących środków i instytucji:		
telewizji	86,7	75,3
gazet	84,4	89,8
czasopism	59,1	77,8
książek	57,6	58,9
radia	89,6	90,7
kin	61,3	58,3
teatrów	49,0	33,3

Przedstawione dane wskazują na dwa zjawiska: mniejszy zasięg korzystania w Łodzi niż w Katowicach z środków kultury masowej i większy — z instytucji kulturalnych, co związane jest z odmiennym składem społecznym mieszkańców i ich tradycjami kulturalnymi. Drugim zjawiskiem, na które wskazują dane zawarte w tabeli, jest miejsce, gdzie zajmuje telewizja w porównaniu z innymi środkami kultury masowej i instytucjami kulturalnymi: w Łodzi występuje ona na czwartym, a w Katowicach na szóstym miejscu. Można przypuszczać, że w miarę rozpowszechnienia miejsce jej będzie się zmieniać na niekorzystnie innych wymienionych środków i instytucji.

II. RÓŻNICE W STELEWIZOWANIU POSZCZEGÓLNYCH ŚRODOWISK.

Dane wskazują, że w okresie badań telewizory znajdowały się w połowę mniejszej ilości mieszkań w Łodzi niż w Katowicach. Różnice te większe były wśród pracowników fizycznych niż umysłowych, na co wpływ miały nie wątpliwie zarobki i premie, wyższe wśród górników i pracowników przemysłu ciężkiego niż pracowników przemysłu lekkiego, a szczególnie wśród robotników łódzkich. Można przypuszczać, że różnice te wraz z rozpowszechnieniem się telewizji zmniejszą się, ale całkowicie nie zanikną prawdopodobnie nigdy, jeżeli

zachowane zostaną decydujące o nich czynniki, a więc realne zarobki.

Mimo przedstawionych różnic w stelewizowaniu poszczególne środowiska, za przykład których służy nam Łódź i Katowice, telewizja w miarę rozpowszechniania się dociera do takich kategorii mieszkańców, którzy nie korzystali z żadnych istniejących dotychczas środków kultury masowej, a szczególnie instytucji kulturalnych. Jeżeli zjawisko takie występuje w Łodzi i w Katowicach, to można przypuszczać, że jeszcze w większym stopniu wystąpi ono w środowiskach lokalnych o mniejszym zasięgu korzystania z istniejących dotychczas środków kultury masowej i instytucji kulturalnych; do środowisk takich należą małe miasteczka, i przede wszystkim wsie. Czy dotarcie telewizji do wymienionych kategorii mieszkańców spowoduje wzrost ich aktywności kulturalnej w innych dziedzinach, tego nie udało się stwierdzić w naszych badaniach, nastawionych przecież na inną problematykę. Zastanawia ono jednak niewątpliwie na uwagę z punktu interesującego nas zagadnienia miejsca telewizji w kulturze współczesnej.

Zdania na ten temat są podzielone. Wśród działaczy panuje przekonanie, potwierdzone częściowo wynikami badań Ośrodka Badań Opinii Publicznej przy Komitecie do Spraw Radia i Telewizji, że dotarcie telewizji do kategorii

mieszkańców nie korzystających dotychczas wcale lub korzystających w minimalnym stopniu z istniejących środków kultury masowej i instytucji kulturalnych wpływa wydatnie na wzrost ich aktywności w tym zakresie. Pewnej odpowiedzi na powyższe pytanie będzie można udzielić dopiero po objęciu badaniami mieszkańców małych miasteczek i wsi. Najbliższe badania na ten temat przeprowadzone zostaną w województwie łódzkim w rejonie Bełchatowa już latem bieżącego roku.

III. ZAINTERESOWANIE PROGRAMEM I JEGO SELEKCJA

W poprzednim artykule sformulowaliśmy hipotezę, że różnorodne treści uodporniające za pośrednictwem środków kultury masowej posiadają jednorodną receptę w podobnych środowiskach społecznych i kulturalnych. Na przykładzie wyników badań nad publicznością telewizyjną w Polsce zwracaliśmy uwagę na tendencje występujące w zakresie selekcji programu; poniżej chcemy zwrócić uwagę na te same tendencje występujące wśród telebionetów Łodzi i Katowic. Dla przykładu przedstawimy zasięg zainteresowań różnymi rodzajami audycji wśród publiczności telewizyjnej oraz skład społeczny audytorium poszczególnych rodzajów audycji.

Zbadanie zasięgu korzystania z telewizji oraz

Łódź	Katowice
Teatr Kobra	Filmy
Filmy	Teatr Kobra
Dzienniki i audycje publicystyczne	Dzienniki i audycje publicystyczne
Teleturnieje	Teleturnieje
Audycje rozrywkowe	Audycje rozrywkowe
Programy sportowe	Programy sportowe
Teatr TV (poniedziałkowy)	Teatr TV (poniedziałkowy)
Audycje popularno-naukowe	Programy dla dzieci
Programy dla dzieci	Programy społeczno-kulturalne
Programy społeczno-kulturalne	Audycje popularno-naukowe
Muzyka poważna i taniec	Muzyka poważna i taniec

Przedstawiona kolejność zainteresowań poszczególnymi rodzajami audycji wskazuje na minimalne różnice w zainteresowaniach widzów w Łodzi i Katowicach. Widać je na przykładzie zainteresowań Kobra, filmami i audycjami popularno-naukowymi; w odniesieniu do pozostałych rodzajów audycji mamy do czynienia jedynie z różnicami wyrazonymi w procentach zainteresowań.

Różnice w stelewizowaniu środowiska pracowników fizycznych i umysłowych w Łodzi i Katowicach oraz różnice w tradycjach kulturalnych i wykształceniu wywierają wpływ na skład społeczny audytorium poszczególnych rodzajów audycji. Np. w składowym społecznym audytorium programu rozrywkowego w Łodzi przeważają pracownicy umysłowi, a w Katowicach — fizycy; podobnie jest jeżeli chodzi o teleturnieje i program popularno-naukowy; audycje społeczno-kulturalne w Łodzi i popularno-naukowe w Katowicach ogląda jednakowa liczba pracowników fizycznych i umysłowych. W składzie społecznym audytorium wszystkich pozostałych rodzajów audycji, prze ważają pracownicy fizycy.

W obu miastach występują także opisane na przykładzie badań ogólnopolskich określone tendencje w zakresie selekcji programu: nie wszyscy jednakową ilość czasu spędzają przed telewizorami i w miarę upływu lat od chwili nabycia telewizora dokonują większej selekcji programu. Można hipotetycznie stwierdzić, że w pierwszym okresie po nabyciu telewizora odbiorcy oglądają cały program, następnie wybierają poszczególne cykle audycji, aby z kolei w trzecim okresie, zależnie od poziomu intelektualnego, dobrać określone audycje. Można też dodać do

nia z telewizji oraz zainteresowań programem pozwala stwierdzić co jako łodzianin nie robię bez przykrości, że telewizywnie znajdują się na niższym poziomie intelektualnym niż telewizywnie Katowic. Wskazują na to następujące fakty:

1. w Łodzi występują większe różnice między korzystaniem z telewizji a wiedzą o programie: w Katowicach 21,5 proc. a w Łodzi — 31,3 proc. widzów nie potrafiło wymienić tytułu audycji oglądanej ostatnio.

2. w Łodzi przeciętna ilość audycji i rodzajów audycji wymieniona przez widzów jest mniejsza: w Katowicach wynosi 2,7 a w Łodzi — 1,5;

3. w Łodzi występuje mniejsza selekcja programu: w Katowicach nie występują wcale w odpowiedziach stwierdzenia, że widzów interesuje cały program albo „brak danych”, w Łodzi takich odpowiedzi otrzymaliśmy odpowiednio 7,6 proc. i 2,3 proc.

Powyższe czynniki nie pozwalają nam na jednakowe traktowanie wyników badań łódzkich i katowickich. Z tego względu możemy porównać je jedynie pod względem miejsca zajmowanego przez różnego rodzaju audycje na drabnie zainteresowań, jak również porównywać je oddzielnie w Łodzi i Katowicach. Na jakie porównania wskazują dane:

Kolejność zainteresowań poszczególnymi rodzajami audycji.

Łódź	Katowice
Teatr Kobra	Filmy
Filmy	Teatr Kobra
Dzienniki i audycje publicystyczne	Dzienniki i audycje publicystyczne
Teleturnieje	Teleturnieje
Audycje rozrywkowe	Audycje rozrywkowe
Programy sportowe	Programy sportowe
Teatr TV (poniedziałkowy)	Teatr TV (poniedziałkowy)
Audycje popularno-naukowe	Programy dla dzieci
Programy dla dzieci	Programy społeczno-kulturalne
Programy społeczno-kulturalne	Audycje popularno-naukowe
Muzyka poważna i taniec	Muzyka poważna i taniec

powyższych uwag, że selekcja audycji dokonuje się różnie zależnie od miejsca, jakie zajmują one w programie, a skład społeczny audytorium kształtuje się zależnie od ich charakteru. Pierwszy okres po nabyciu telewizora, kiedy ogląda się cały program, powoduje, jak zabaczamy w następnym artykule, wielkie zmiany w życiu kulturalnym odbiorców i wpływa w całości na typ kultury współczesnej.

TELEWIZJA

RZETELNA AUDYCJA

Za taką z pewnością można uznać „Walkonie czy tytany” (II.III), publicystyczny program Zbigniewa Chylińskiego i Juliana Brysa, emitowany na antenie ogólnopolskiej. Spośród coraz silniej utrwalającego się stereotypu programów publicystycznych, ten — trzeci już w krótkim okresie czasu (półtora miesiąca) — pokazuje umiejętności i możliwości łódzkich realizatorów nie przyniósł nam wstydu. Zdecydowanie wyłamał się spod panującego wszechwładnie w telewizji schematu.

Poprzednie dwa wystąpienia łódzkiej publicystyki telewizyjnej: „Szkoła perswazji” oraz „Działasz czy czekasz” uzyskały w ocenach krytyków dobre noty. Po „Walkoniam” czy tytanach” chociaż za wcześnie jeszcze byłoby obwieszczać triumfalnie — Eureka!, to jednak z całą satysfakcją można pozwolić sobie na westchnienie ulgi, głębokie westchnienie; prognozy dla publicystyki LOT-u stają się coraz jaśniejsze i rokują najlepsze nadzieje. Nie tylko zresztą rokują. Są już przecież dowody — dobre audycje.

„Walkonie czy tytany” poświęcone zostały trudnemu problemowi studenckiemu. Temat ani nowy, ani odkrywczy — ale — wciąż aktualny, i co ważniejsze — wciąż wymagający regulującej go reformy.

Czy student jest walkoniam, czy też tytanem pracowitości? Audycja Chylińskiego i Brysa starała się odpowiedzieć na powyższe pytanie. Obiektywnie — nie poszedłoby studentowi słusznego złośliwości. Ale wiadomo, że student często jest walkoniam, lecz potrafi być często tytanem. Scenariusz audycji zawiązał jednak kwestię czasu studenta do

studentów Politechniki, uczelni, która jest najbardziej pracochłonna i czasochłonna. Inaczej np. rozkładają się zajęcia na Politechnice, a inaczej na Uniwersytecie, w obrębie zresztą tej samej uczelni zachodzą pewne różnice w rozkładach zajęć. Szkoda, że w programie nie skonfrontowano takich różnych „czasów”. Zawiązanie tematyczne audycji nie przyniosło jednak jej żadnej szkody merytorycznej; na przykładzie studenta Politechniki można przecieć najprościej wykazać istnienie pewnych anachronizmów w samej organizacji studiów jak również w systemie programowym. Audycja „Walkonie czy tytany” uodrodniała — (wprawdzie truizmem, lecz truizmem niedostrzeżonym), że gdyby student Politechniki musiał wypełnić absolutnie wszystkie swoje obowiązki uczelniane, a doli-



czył do nich minimum czasu, potrzebnego na wykonanie czynności niezbędnych do utrzymania się przy życiu, to dwadzieścia cztery godziny doby okazały by się zbyt wąskie, nie wystarczające na zmieszczenie tych wszystkich zajęć. Dlatego więc audycja postawiła szereg konkretnych propozycji, zmierzających do uregulowania problemu czasu studenta (Politechniki). Te wnioski są na pewno słuszne, i warto, aby trafiły do odpowiednich władz.

Na marginesie ostatniej audycji LOT-u pragnę przypomnieć pewne prośby: niezwykle czarne, pesymistyczne, jakie swojego czasu otworzyła przed Łódzkim Ośrodkiem Telewizyjnym w „Ekraniu” Jolanta Mach. Odmówiła ona wtedy ośrodkowi łódzkiemu niejako prawa do programów publicystycznych, a więc tym, z którym Ośrodek chce wejść na antenę ogólnopolską, stoi na tak żenująco niskim poziomie, to nie ma sensu krzyszyć kopii ani o wóz transmisyjny, ani dobijać się o pozwolenie na emisję publicystyki w programie ogólnopolskim. Na szczęście, przekonujemy, że coraz wyraźniej, że prorocтва nie mają zamiaru się spełnić. Już w tej chwili można serie traktować publicystykę telewizyjną LOT-u, a wszystko wskazuje na to, że będzie ona jeszcze lepsza.

KOWALSKI

„TEMIDA BEZ TOGI”

Pod takim tytułem zaprezentował Wrocław 12 marca swój program publicystyczny. Tematem była działalność społecznych sądów robotniczych, które dwa lata temu powstały na Dolnym Śląsku. Audycja, mimo frapującej tematyki nie należała do najbardziej udanych. Mówiono, mówiono, mówiono, a w międzyczasie pokazywano bardzo słabe wstawki filmowe, których autorami byli „specjalnie wysłani nasi reporterzy” jak zapowiedziała prowadząca program Barbara Foltis. Telewizjom przedstawiono bardzo ciekawą sprawę rozpatrywaną przez sąd robotniczy kopalni „Thorez” w Walbrzychu, gdzie oskarżono in-

żyniera o niewłaściwy stosunek do robotników. Jak się ta sprawa zakończyła, nikt nie wie, gdyż mimo przyrzeczenia, że „na końcu audycji powrócimy do tej sprawy”, nie wyjaśniono finału zajścia. Zwroćmy jeszcze uwagę na błędy... językowo-stylistyczne, które popełniali prowadzący program dziennikarz (np. takie zdanie — „jak pan w tej chwili sądzi o sądach robotniczych?” itp.). Tego rodzaju pośpiechu nie powinny mieć miejsca, zwłaszcza przed milionami widzów, którzy w pewnym stopniu „uczą się” mówić, oglądając telewizję.

E. W.

„Literatura Ludowa”

(Dalszy ciąg ze str. 5)

kulturowymi. Obserwujemy je in statu nascendi. Do takich należy między innymi region łódzki.”

Warto chyba jeszcze odnotować, ale już na marginesie uwag Stefana Świerżewskiego (1961 zesz. 1-2) „Na łódzkim szlaku Reymonta”, jakie echa budzą w innych okolicach pewne tradycje reymontowskie.

To prawda, że w Lipskach pokazują staw, chwałę Kłębów itp., że w Przyłeku Dużym stoi „I pa Reymonta”; że na pierwsze przedstawienie „Wesela Boryny”, które odbyło się przed przeszło ćwierćwieczem, zjechało się do Lipska ponad trzy tysiące osób. Ale tradycje reymontowskie są także żywe w innych miejscowościach. W Rokicimach jest szkoła im. Reymonta. Lipsa „reymontowska” znajduje się także we wsi Prażki. W latach 1893-1904 autor „Chłopów” często tutaj przy-

jeżdżał do swojej siostry, i jak podaje miejscowy kronikarz, Józef Feja z Rokicim, „szczególnie chętnie przebywał niedaleko mijana w dniu lipy, która już 500 lat liczy”. Lipie groziła śmierć, miejscowi chłopcy zaalarmowali Wojewódzki Wydział Kultury w Łodzi i pamiątkowe drzewo uratowano. Przy tych pracach ratowniczych wzięło udział bezinteresownie ok. 20 chłopów. Otóż ci chłopcy, którzy ratowali lipę, i wszyscy stamtąd, uważają, że to nie keraj-obraz lipiec! został „sfotografowany” w „Chłopach”, a ich, i że to samo dotyczy większości bohaterów. Na dowód przytaczają nazwiska chłopów, muzykantów, rysują ich portrety.

Nie sposób w krótkiej nodzie omówić nawet jednego zesyty tak interesującej publikacji, jaką jest „Literatura Ludowa”. Trudno nawet powieść, choćby szkicowo, zagadnienia, które tam są poruszane. Ale przynajmniej trzeba zapisać, że pismo to odgrywa w naszym życiu kulturalnym poważną rolę.

TADEUSZ PAPIER

